



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Zofia Skirzyńska-Zboralska

Jak wyszłam z Warszawy? Jak wyszłam z Powstania Warszawskiego?

Takie pytanie zadała mi Pola Kowalska, moja cioteczna siostra, w jednym z listów pisanych z okazji nadchodzących świąt.

Kochana Polu zadałaś mi bardzo trudne do wykonania zadanie. Nie dlatego, że niewykonalne. Mam to spisane. Ale powrót do tamtego okropnego okresu porusza mocno czułe miejsca i jest niebezpieczny dla moich słabych nerwów. Trauma powojenna.

Z Warszawy nie wyszłam, ja zostałam z Niej brutalnie wypędzona.

Jak co roku, w miesiącu lipcu 1944 roku byłam z ciocią Ireną – siostrą mojej mamy – na tzw. letnisku. Nie w willi Weigla, a w Bukowie. Każdego lata ciocia Irena wynajmowała, niedaleko Dąbrówki, jakieś lokum i wyjeżdżała z trójką dzieci i pomocą domową na okres całych wakacji. Czasami do Warszawy powracała nawet pod koniec września. Prawie zawsze ciocia Irena zabierała mnie ze sobą. Wakacje w roku 1944 były krótsze. Wujek Mikołaj przyjechał, jak zwykle w sobotę, ale nie poszedł z nami na spacer, jak to było w jego zwyczaju, lecz zamknął się w pokoju z ciocią Ireną i długo rozmawiał, aż wreszcie po jakimś czasie ciocia wyszła zapłakana i oświadczyła, że wracamy do domu, do Warszawy. Rezultatem tej rozmowy było pospieszne pakowanie i przygotowywanie się do powrotu.

Platforma konna mająca zawieźć nas do miasta była zamówiona na poniedziałek rano 31 lipca. Powracaliśmy sami. Wujek Mikołaj do Warszawy pojechał „ciuchcią” wcześniej, jeszcze w niedzielę.

Przez cały czas jazdy ciocia Irena powtarzała, że wysadzą mnie na Placu Zamkowym i Senatorską do Elektoralnej mam iść nie zatrzymując się przy żadnej, podkreślała to wyraźnie i z naciskiem, przy żadnej wystawie sklepowej. „Musisz do Janki zdążyć dojechać bezpiecznie jeszcze przed godziną policyjną”. W drodze powrotnej zatrzymywaliśmy się, gdyż ciocia zakupiła u Sapiejewskich worek ziemniaków i jeszcze jakieś produkty żywnościowe. Zastanawiałam się, po co ciocia robiła takie duże zapasy, tracąc tyle czasu. Mogę rzeczywiście nie zdążyć. Kiedy jechaliśmy blisko mijającej nas „ciuchci”, z parowozu wychylił się maszynista i robiąc znaczące kółeczko na czole krzyknął w naszą stronę, „dlaczego głupia babo wiesz te dzieciaki do miasta, zamiast zostać z nimi na wsi, gdzie będzie bezpieczniej niż w Warszawie”. Ciocia nie reagowała na te ostrzeżenia i nie odpowiedziała na moje pytanie, gdy zapytałam, dlaczego on tak krzyczał odradzając powrót do Warszawy.

Na Placu Zamkowym zeszedłam z tej platformy i weszłam w ulicę Senatorską. Moja siostra Janka, ze swoim mężem Eugeniuszem, mieszkała przy ulicy Elektoralnej. Jeśli o mnie chodzi to wołałabym wsiąść do tramwaju i pojechać prosto na Wolę. Posłuchałam jednak napomnień cioci i podążyłam na Elektoral-

na 28. U Janki zastałam swoją najstarszą siostrę, a w kącie pokoju stały, jedna na drugiej, nasze walizki. To mnie bardzo zaskoczyło. Widząc pytanie w moich oczach, siostry powiedziały mi, że nasz dom, jako największy na Mszczonowskiej, zarekwirowali Niemcy w połowie lipca i wszyscy lokatorzy musieli w ciągu 24 godzin opuścić swoje mieszkania. Dlatego same najwartościowsze rzeczy przywieziono w walizkach na ulicę Elektorálną, do Jasi i Gieńka. Niemcy mojej mamie i tacie pozwolili zamieszkać, w stojących na naszej posesji wagonach pełniących rolę oficyn. Ojciec był zadowolony. Mógł, tak jak w 1939 roku, „mieć oko” na dom. Mama mniej, bo angażowali ją do obierania ziemniaków przy kuchni polowej. Tak bardzo tęskniłam za rodzicami, że od samego rana wymuszałam na siostrach, żeby pozwoliły mi pojechać do nich. Wybrałam się na Wolę sama, bo nikt z nich nie mógł. Wysiadłam z tramwaju nr 21 na przystanku przy kościele św. Wawrzyńca i ulicą Gizów pobiegłam do domu. Ominęłam wartownika stojącego przed naszym domem i wszłam na podwórko. Ogródek był cały stratowany. Na miejscu klombu stał jakby okrągły duży stół opakowany w brezent. Dalej stały działa przeciwlotnicze i kuchnia polowa. Kilku żołnierzy niemieckich coś tam majstrowało przy działach. Ani taty ani mamy nie było. Łamaną polszczyzną powiedziano mi, że moi rodzice pojechali samochodem na jakąś wieś po zaopatrzenie. Czekałam na ich powrót prawie do godziny trzeciej. Przez cały okres oczekiwania na mamę, z jedynej pozostałej jabłonki, jadłam kwaśne niedojrzałe jabłka, bo byłam głodna. Patrzyłam na podwórko i ogródek i łkanie samo wyrывało się z głębi mojej piersi. Wszystko było zniszczone. Przewrócony parkan, rozjeżdżone kołami grządki z warzywami. Pod osłoną drzew stały armatki, skrzynki z amunicją i „talerze” reflektorów. Cała nieszczęśliwa z powodu tego, co zobaczyłam i stęskniona za rodzicami powróciłam na ulicę Elektorálną. Była godzina szesnasta. Janka, która rano nie chciała mnie wypuścić z domu, teraz była zadowolona, że już jestem. Za chwilę powróciła Jadwiga z Gieniem. Byli od rana na Pradze, gdzie mieli zamienić „górale” (nominały pięćsetzłotowe) na drobniejsze, gdyż w sklepach już nie przyjmowali banknotów pięćsetzłotowych. Wyjazd nie powiódł się. Siedliśmy do nakrytego już stołu i Jadwiga naląła zupy do talerzy. Jadłam szybko, by zaspokoić głód. Siostry rozmawiały o zasłyszanych wiadomościach, że Rosjanie doszli już prawie pod Pragę i o tym pliku niewymienionych pięćsetek. Trzeba było zrobić zakupy. Zaczęły wyliczać, co jest niezbędne, ale szybko przestały, bo zza okna dał się słyszeć jakiś nienormalny hałas i odgłosy pojedynczych wystrzałów z karabinu. Starsza siostra Jadwiga skoczyła do okna i krzyczy – powstanie, wybuchło powstanie! Patrzcie, chłopcy z rozpylaczami, o Boże, nasi chłopcy! – Wszyscy wcisnęli się w okno. – Co to jest rozpylacz? – pytam. – To taki karabin co szybko strzela nabojami, które są w takim talerzu – rzuca przez ramie prawie nie odwracając głowy. Puk, puk, puk słyszę poszczególne strzały gdzieś z daleka. Jestem ciekawa, co oni tam widzą. Pytam jak wygląda to powstanie. Zamiast odpowiedzi słyszę znów radosny krzyk Jadwigi – robią barykadę! – Nie wytrzymałam, wkręciłam swoją głowę między nich. Na dole, po przeciwnej stronie ulicy, pod samym murem przebiega grupa mężczyzn. Kilku pierwszych trzyma broń w wyciągniętych rękach. Jeden, drugi, trzeci, szósty, dziesiąty. – Nie krzycz Jadzia, przecież my to samo widzimy co ty – mówi Gieniek. Grupka mężczyzn biegnąca chyłkiem przy samym murze dobiegła do rogu ulicy i skręciła w stronę Hali Mirowskiej. Na lewo od nas wzdłuż ulicy Solnej przecinającej ulicę Elektorálną jedzie ogromny beczkowóz i zatrzymuje się. – Co on robi? Tarasuje przecież przejście! – Pojazd zatrzymał się, pozostawiając małą przestrzeń przy domu nr 30 i był tak długi, że sięgał aż do trotuaru przylegającego do domu stojącego naprzeciwko. Zatarasował przejazd ulicą Elektorálną. Na szóstym piętrze domu spod 30. otwierają się szeroko okna i na beczkowóz lecą różne części mebli, krzesła, całe szafki, stolki i kto wie jeszcze co. Po jakiejś godzinie słyszę krzyk Jadzi – już jest gotowa, już jest gotowa – i klaszcze w ręce. – Co jest gotowe? – pytam. – Barykada, barykada! – To tak wygląda barykada, taka góra w poprzek ulicy? Po co ta barykada? – Po to żeby można było przejść bezpiecznie – odpowiada. Seria wystrzałów tra-ta-ta-ta-ta z hałasem tam gdzieś za rogiem. Naprzeciw nas na pierwszym piętrze ktoś zamyka okna i przesuwą zasłony. Za chwilę otwierają się drzwi w bramie, która dotychczas stale była zamknięta. Wychodzą trzy osoby. Dwóch mężczyzn i kobieta ubrana jak żołnierz. Z naszej bramy przebiegają przez ulicę do nich, ten pan, który mieszka pod nami na pierwszym piętrze (Pupysz?) i ten z trzeciego piętra nad nami. Z okien na pierwszym piętrze i trzecim słychać szloch kobiet. Nie zostawiaj mnie z dzieckiem samej. To ta z trzeciego. Ta z pierwszego krzyczy – wróć! Do grupy tej dołącza inna grupa biegnąca od strony kościoła św. Boromeusza. Razem biegną w stronę ulicy Solnej. Konsternacja między moimi siostrami. Pupysz to żaden wróg, myśmy myślały, że to jakiś szpieg! A jak się go bałyśmy, kiedy Wacek przyprowadził go na imieniny. Zastanawiałyśmy się skąd Wacek i Bogdan go znają? A ta pani z pierwszego piętra naprzeciwko, to też żadna „taka”. Miała opaskę biało-czerwoną na rękę i torbę skórzaną. Była przygotowana do wyjścia! Wiedziała! Czyli to zwoływanie się melodyjnym gwizdem „ja daję umówiony znak” to nie były schadzki u niej z tymi panami z pierwszego i trzeciego piętra a na pewno zebrania. Siostry popatrzyły na siebie z niedowierzaniem. Gieniek siedział na krześle ponuro patrząc w podłogę. Coś się w nim gotowało. Janka podeszła i pogłaskała go po głowie. Nie możesz przecież mnie zostawić w takim stanie. Nagle Jadwiga... Mój Boże ona nas dzisiaj zakrzyczy! – Ja też idę, ja tu nie zostanę. Gdzie moja bluzka, ta z kołnierzykiem? Nie mam furazerki, ale włosy zwiążę wstążką – biega jak opętana po pokoju. Janka ją powstrzymuje – gdzie polecisz bez broni, poczekaj do jutra!

Moja siostra, Jasia, w maju powiedziała naszej mamie coś w tajemnicy, a później coraz częściej słyszałam różne słowa wypowiedane z uśmiechem, że zostanę cicią. Nie zwracałam na to uwagi, ale teraz, gdy Janka prawie z płaczem mówiła – nie mogę zostać w takim stanie sama z Zosią – to już wiedziałam, to znaczy wydawało mi się, że wiem dlaczego.

Gieniek uspakajał Jasię. – Nigdzie nie pójdę i Jadwiga też nie pójdzie. Ona nie ma przeszkolenia, oboje nie mamy broni. – Słyszac to Jadwiga rzuciła niemal z oburzeniem – No wiesz, co za sztuka! Po dwóch dniach będę umiała zawiązać bandaż! A broń? Broń zdobędę.

W tej chwili przypomniała mi się szafa w kuchni w naszym domu na Mszczonowskiej, z której wypadły na mnie karabiny. Teraz by się one przydały. Każdy w podnieceniu kręcił się koło okna, a talerze stały na stole jeszcze niesprzątnięte. Chciało mi się znów jeść, ale nikt nie pomyślał o kolacji, a ja nie lubiłam wchodzić do ciemnej, bez okna, kuchni. Na ulicy było coraz głośniejsze i już nie dało się zwyczajnie przechodzić na drugą stronę z powodu strzelaniny. Na razie nie u nas, ale gdzieś blisko. Było już późno, a wujek Janek nie powracał. Może przyjdzie w nocy, jak to często bywało. Gieniek i moje obie siostry postanowiły zejść na dół. Przykazały mi nie wychodzić z mieszkania i nie podchodzić do okien. Jadwiga wprowadzała podniosłą atmosferę swoim entuzjazmem, tym radosnym wykrzykiwaniem, że się już zaczęło, że nasi chłopcy w hełmach. – Patrzenie, wyciągane opaski białe czerwone w biegu zakładają na rękawy. – To wszystko działało najpierw radośnie i reagowałam z zaciekawieniem, a później zmęczona niezwykłością dnia zasnęłam. W nocy ktoś mnie prznosił na inne miejsce. Przez sen słyszałam podniosłe szepty, ale znów zapadałam w sen. Następnego dnia, 2 sierpnia, prawie wszyscy byli na podwórzu. Podwórze było duże, okolone z czterech stron kamienicami. Niesamowita krzątanina. Mężczyźni prawie biegiem przemierzali podwórko i znikali w korytarzach prowadzących do mieszkań z wejściem „od kuchni” i do piwnic. Gdzieś z drugiego podwórka dochodził odgłos uderzeń młotem o mur. Pan dozorca udostępniał jakieś narzędzia. Słyszał było nawoływanie dzieci. Ni stąd ni zowąd wybuchały śmiechy radości mieszające się z płaczem kobiet, z krzykiem dzieci i lamentem dochodzącym z pootwieranych okien; „co ja sama pocznę z tymi dziećmi”. Moje obie siostry gdzieś się podziały. Gienka widywałam od czasu do czasu przechodzącego przez podwórze. Wychodząc z mieszkania wzięłam ze sobą piłkę z myślą o jakiejś zabawie. Na podwórku nie znalazłam chętnych do gry w piłkę. Z początku przypisywałam to faktowi, że żadne z dzieci nie chce się ze mną bawić, bo jestem obca, nie z ich podwórka, nie z Elektoralej. Później zorientowałam się, że wszyscy są zajęci obserwacją tego, co dzieje się wokół. Do gry w piłkę potrzebna jest przestrożka, a tę przemierzają wzdłuż i wszerz podwórka, dorośli. Zabawa przeszkadzać by mogła starszym w tej ich krzątaninie. Jednym słowem nie było sprzyjającej atmosfery. Piłkę odniosłam więc na drugie piętro. Wcale nie byłam zadowolona z wprowadzenia takiej dyscypliny. W bramie dyżurujący mężczyźni nie pozwalali wychodzić na ulicę. Zatrzymywali się tam jacyś żołnierze, których Jadwiga nazywała „to nasi powstańcy, morowi chłopcy”. Jadwiga była wszędzie. Raz wbiegała na drugie piętro po coś, co podawała komuś, a ta znów innej osobie i nawet nie zdążałam się od niej dowiedzieć, po co była i dlaczego, bo biegła znów w inną stronę podskakując i nucąc jakąś melodię, którą przypominałam sobie jeszcze z radia, ale to było tak dawno, bo radio w czterdziestym roku ojciec zakopał do ziemi, żeby uniknąć zdania go Niemcom. Jadwiga pokazywała się i zniknęła. Z godziny na godzinę i na podwórzu wszystko się zmieniało. W pierwszym podwórku z prawej strony przed wejściem do korytarza zbudowano z cegieł podwyższenie, na którym wylądował ogromny kocioł. Pod kotłem rozpalono ogień. Gotowała się tam kawa dla tych powstańców, którzy przechodzili przez nasze podwórka.

Centralnym punktem, gdzie zbierali się mężczyźni było miejsce przed wejściem do stróżówki pana woźnego, czyli w bramie. U nas na Mszczonowskiej na teren posesji wchodziło się przez bramę przylegającą do budynku. Tutaj brama była żelazna z furtką, lecz na środku budynku, więc na podwórko wchodziło się tunelem, chyba piętnastometrowym. To miejsce, w tunelu ciągnącym się od bramy żelaznej pod budynkiem aż do wejścia na pierwsze podwórze, było przestronne i bezpieczne. Na końcu tego przejścia pod budynkiem były drzwi do mieszkania stróżówki, której okna wychodziły na podwórko. Teraz też grupa mężczyzn obradowała, notowali coś na kartkach, odczytywali nazwiska. Jeden z nich jakby wszystkim kierował. Jemu, temu panu, zgłaszano, informowano o wszystkich ważnych sprawach, że na przykład w piwnicy jest magazyn z produktami należącymi do sklepu spożywczego od frontu kamienicy. Wyznaczono osoby, które miały za zadanie spisanie pobieranych produktów przeznaczonych na dożywianie i pozostawienie potwierdzenia w sklepie, który otwarto komisyjnie. Samoistnie powstał komitet regulujący najważniejsze sprawy dotyczące życia w zaistniałych warunkach. Moje siostry zniknęły z podwórka. Jankę zaprosiła sąsiadka na herbatę, a Jadwiga poszła na górę się przespać. Obie pozawierały nowe znajomości. Mnie przeganiano, bo byłam ciekawa i do każdej grupki podchodziłam, żeby się dowiedzieć, co się dzieje i po co. Zwłaszcza zależało mi na przedostaniu się do wejścia w bramie, aby zerknąć na ulicę. Do gara z kawą nie podchodziłam. Tam kobiety rozlewały do kubków kawę i podawały powstańcom, którzy wypijali ją prawie w biegu. Sama chętnie napiłabym się kawy, ale dzieciom dawali tylko takie kostki do gryzienia kawy zmieszanej z cukrem. Zaciekawilo mnie, gdzie ci powstańcy znikają, przecież nie wracają w kierunku wyjścia na ulicę, a idą do drzwi korytarzowych. Niektórzy do lewych, niektórzy do prawych, a inni znów prowadzeni przez dziewczynki starsze ode mnie, na drugie

podwórko i tam znikają. Ruch jak w przysłowiowym ulu przy ciągłym odgłosie strzelaniny i głuchych wybuchów. Moje zainteresowanie drugim podwórkiem przerwał radosny krzyk lecący od bramy budynku, więc co tchu jestem już tam. Wciskam się w ciżbę i widzę całą ulicę we flagach biało-czerwonych, takich samych jak ta, którą ojciec trzyma w schowku na strychu naszego domu na Mszczonowskiej. Nad wejściem do budynku stojącego naprzeciwko ulicy Elektoralnej 28 po drugiej stronie grupka ludzi usiłuje drzewce z chorągwią zatknąć do otworu, ale nie mogą, bo jest ta rurka zamocowana wysoko. Stojący w naszej bramie krzycząc doradzają, bo nie można już przejść przez ulicę i pomóc. Z wieży kościoła św. Boromeusza strzelają Niemcy w każdy ruchomy punkt na ulicy Elektoralnej. Nawet, stojąc tu na dole, usłyszałam Jadwigę krzyczącą z okna, że ktoś musi, żeby dosięgnąć, stanąć komuś na ramionach. Wciśnięta pomiędzy jakichś dwóch panów obserwuję ulicę. O Boże! Co się tu dzieje, przed chwilą taka radość z obwieszenia domów flagami, a teraz pomruk grozy, bo oto nadlatują samoloty. Nagły krzyk ostrzegawczy z drugiego piętra Jadwigi, że Niemiec na dachu! Celuje w grupę ludzi. Nie zdążył. Ktoś po naszej stronie ulicy był szybszy. Wystrzelił. Niemiec spadł. Znów okrzyki i brawa. Wśród tych okrzyków rozpoznaję tuż za sobą głos Jadzi. Samoloty pikują nad hałami, zrzucają bomby z różnokolorowymi końcówkami. Świetnie to widać z okna drugiego piętra. Po dachach skradają się Niemcy. Trzeba ostrzegać powstańców. Jadwiga zauważywszy mnie nagłym ruchem wypchnęła mnie do tyłu, a sama jak strzała przeleciała przez ulicę. Za nią poleciała seria po bruku z wieżyczki kościoła, ale Jadzia już była na drugiej stronie. Ktoś ją podniósł i stojąc na czyichś ramionach zatknęła flagę w otwór. Następna biało-czerwona zdobiła i tę bramę. Znów wybuch radości. Jak ona teraz wróci? Jadzia jednak nie wracała. Od samego początku zamierzała tam się znaleźć. Przypuszczała, że tam jest punkt rekrutacyjny. Powróciłam na podwórko z myślą wejścia na drugie piętro do mieszkania. Okropny świst powstrzymał mnie i zamarałam z przerażenia. Bomba leciała prosto na dach lewego budynku. Zwinęłam się w kłębek i czekałam na wszystko najgorsze. Wybuch nie nastąpił. Po długich i okropnych minutach schodzą panowie wysłani na strych i oświadczają, że bomba wpadła do beczki z wodą. Dzisiaj te beczki były ustawiane na strychu i napełniane wodą przez grupę odpowiedzialną za bezpieczeństwo pożarowe. Alarm dla nas odwołany. Na razie. Jadwiga powróciła cała załamana, niezadowolona. Nie przyjęli jej, za dużo zgłoszeń. Przyjmują wyłącznie wykwalifikowane siły, ze swoim sprzętem i najchętniej z własną bronią. Janka ugotowała jakąś zupę, którą zjadłam błyskawicznie. Nic więcej nie dostałam, bo nie było już chleba, a także niewiele do chleba. Trochę posiedziałam w mieszkaniu, a ponieważ nie można było zbliżyć się do okien uznałam, że na podwórku jest dużo ciekawiej. Poza tym chciałam się koniecznie dowiedzieć gdzie prowadzą powstańców te koleżanki, które zwracają się do siebie „druhno” i pozdrawiają się dziwnym krótkim słowem „czuj”. Na podwórzu ruch wielki. Właściwie wygląda to na taką bezwładną bieganinę. Widocznie ten pośpiech wypływał z powodu zapadającego zmierzchu. Dzieci nie było żadnych i drухen też nie było. Powróciłam do mieszkania. Ściemniało się. Wieczór nadszedł po bardzo długim dniu, tak długim, że zdawało mi się, jakby ten drugi dzień powstania trwał cały tydzień. Wszystkie wydarzenia wywoływały wiele emocji. Moje oczy tak bardzo były zmęczone, że same zamykały się do snu. Łóżko stało pod oknem, więc w miejscu bardzo niebezpiecznym. Siostry zrobiły mi posłanie na krzesłach daleko od okna, pod ścianą. Głową dotykam kaflowego pieca. Jest duszno, wręcz gorąco, bo leżę na puchowej pierzynie. W końcu zasypiam. Śni mi się to wszystko, co zarejestrowały oczy w ciągu dnia. Śni mi się też chleb, który mają upiec dla dzieci z tej zarekwirowanej mąki. W nocy coś wybucha, wstrząsa całym budynkiem. Z trzaskiem lecą szyby z okien. Jakaś straszliwa detonacja, jakby zawałała się cała Warszawa. Ogłuszona tym przeokropnym hukiem, donośnej, o wielkiej sile eksplozji, stoję obok krzesel. Ze strachu nie mogę się poruszać. Taką ogłuszoną i zupełnie zdezorientowaną i wyrwaną nagle ze snu Janka chwyta za rękę i ciągnie za sobą na korytarz. Jak na skrzydłach biegniemy po schodach do schronu przeciwlotniczego. Na parterze jest już pełno ludzi i do piwnicy schodzimy powoli. Jedni drugich popychają. Nerwowo komendują – przesuwać się na boki, zrobić wąskie przejście. – Tam gdzieś, w głębi piwnicy, widoczne jest słabe światło świecy. Ludzie mocno tu słóczeniu, wydarci ze snu, snują różne domysły, wymieniając różne obiekty Warszawy. Na pewno Niemcy wysadzili coś w powietrze, ale co? Może most? To niemożliwe. Po czym by uciekali?¹ . Wszyscy czekali na następne detonacje, ale nic się nie działo. W piwnicy zrobiło się jakby jaśniej. Nie dlatego, że stałam bliżej świecy, ale i oczy przyzwyczyły się już do ciemności. Zauważyłam natomiast, że ludzie odsuwają się ode mnie. Pani najbliższej mnie stojąca prawie wykrzykuje – o Boże, kto to jest ta dziewczynka? – Janka nie odwracając się w moja stronę odpowiada – to moja siostra Zosia – Jadwiga spoglądając na mnie z przerażeniem podnosi głos – Co się z tobą stało? Jesteś cała czarna. – Z głowy i ubrania, w którym zasnęłam, osypują się sadze. Wokół mnie robi się pusty krąg. Ludzie patrzą teraz na mnie prawie z przerażeniem. Jestem cała czarna jak murzynek. Wyczuwam sadze teraz nawet na rzesach.

Po powrocie z piwnicy nikt nie zapala światła. Siostry wyciągają materace z łóżka i szykują spanie z dala od okien, które nie mają już szyb. Nie sprzątają szkła. Rano okazuje się, że pierzyna, na której spa-

¹ W trakcie walk w dniu 3 sierpnia (w nocy z 2 na 3 sierpnia) nastąpił wybuch amunicji, lub został wysadzony Zespół Szkół przy ulicy Chłodnej 9/11.

łam to jedno wielkie gniazdo sady. Nad posłaniem z ustawionych rzędem krzesel, zaraz obok pieca, na wysokości dwóch metrów był tak zwany szyber, taka mosiężna okrągła klapka, która podczas wybuchu odpadła i wszystkie sadze znajdujące się w kominie, pod wpływem silnego wstrząsu, spadły na mnie. Siostry pomagały mi się umyć, ale pranie moich ubrań odłożyły na zakończenie powstania.

Od rana latały samoloty zrzucając bomby na Hale Mirowskie. Z tu i tam zasłyszanych rozmów dowiedziałam się, że Niemcom zależy na zniszczeniu zapasów żywnościowych znajdujących się w halach, aby uniemożliwić korzystanie z nich przez ludność i powstańców. A powstańców przebiegających przez podwórze było co raz więcej. Ludzie mieszkający od strony frontowej, z oknami wychodzącymi na ulicę, znosili tobołki z pościelą w celu zorganizowania spania w piwnicach. Mieszkania od frontu budynku były narażone na niebezpieczeństwo ostrzału. Brak szyb w oknach nie sprzyjał dobremu odpoczynkowi. Gieniek też był zmuszony odszukać piwnicę należącą do wujka. Moja siostra ze szwagrem mieszkali bowiem jako sublokatorzy u stryjka Janka. Wujek do tej pory nie powracał. Piwnica nasza znajdowała się pod budynkiem dzielącym oba podwórza. Okienko wychodziło jednak na pierwsze podwórko. Byłam za niska i przez okienko widziałam tylko kawałek nieba. Odgłosy z podwórka słyszalne były jednak bardzo wyraźnie i można było określić, co się dzieje. A dziać się zaczynało coraz więcej. Prawie wszyscy spędzali teraz czas na podwórzu. Poznawałam coraz więcej sąsiadów. Wszyscy mówili sobie dzień dobry. Wspólny los połączył mieszkańców jakby w jedną wielką rodzinę. Grupy powstańców zatrzymujących się przy kawie wprowadzały swoim śmiechem i dowcipem dużo radości. Twarze ich były uśmiechnięte, ale oczy zachowywały czujność. Obsłużeni przez niezmordowane panie okrążali ogródek z jedynym drzewem znajdującym się na środku wybrukowanego podwórka i znikali w przejściu do drugiego podwórza. Kawa pachniała. Podobno była z czekoladą. Wstydziłam się poprosić, chociaż miałam wielką ochotę na kilka łyków kawy. Była przeznaczona dla walczących. Trudno było gotować coś w domu, kiedy wszyscy byli na dole, bo bomby wybuchały, strzelanina bezustanna uniemożliwiała normalne życie. Strach na odgłos wybuchów, radość z powodu jakiejś dobrej nowiny, wszystko tak się raptownie zmieniało, że nie wiedziałam, co ze sobą zrobić, czułam się bezużyteczna. Na szczęście pani Pupyszowa mieszkająca na pierwszym piętrze poprosiła mnie żeby popilnować jej kilkutygodniowego dziecka, podczas gdy ona przemieszcza co nieco do piwnicy. Też nie mogła pozostać z rodziną na noc w mieszkaniu.

Dziecko spało w wózku. Starszy siwy pan poruszał się bardzo wolno, w taki sam sposób jak pan Trzaska, który odwiedzał ojca. Miał prawie złączone obie stopy i przesuwał je na długość kilku centymetrów. Dłoń lewą miał zwiniętą w pięść i zaciskał ją mocno na brzuchu. Janka mówiła, że ojciec pani Pupyszowej jest sparaliżowany. Mimo swego kalectwa cały czas czuwał przy maleństwie, żeby je ochronić w czasie wybuchów. Minionej nocy podczas tej strasznej detonacji stał obok wózka, a kiedy z sufitu zaczął spadać tynk, pochylił się nad wózkiem i zasłonił sobą dziecko. Pani Pupyszowa długo nie nadchodziła. Jakieś dziwne odgłosy zaczęły dochodzić przez drzwi z pokoju z oknami wychodzącymi na ulicę. Ten narastający odgłos był wyraźny mimo zasuniętych zasłon. Był to wyraźny zgrzyt gąsienic czołgu zbliżającego się coraz bliżej i bliżej. Do okien nie można było podejść. Respektowałam teraz ten zakaz siostr. Ponadto byłam w obcym mieszkaniu, a okna były szczelnie zasłonięte zasłonami dodatkowo przytłumionymi do ścian. Ciekawość mnie rozpieszczała. Co się tam dzieje na ulicy i dlaczego towarzyszą temu hałasowi odgłosy jakby rozbijanego szkła? Trzęsące się ciało dziadka pochyla się nad wózkiem ze śpiącym w nim dzieckiem, a ja najbardziej chciałabym uciec z tego mieszkania, jak z zamkniętego pudła. Nie dlatego, że udzielił mi się strach starszego pana, ale rozsadza mnie ciekawość i to, że omija mnie coś, co chciałabym zobaczyć na własne oczy. W tym momencie zza okna dolatuje krzyk! Krzyk ludzi. Nie jest to krzyk grozy, a ogromnej zbiorowej radości! Nagle jednocześnie z piersi setek osób znajdujących się tam na ulicy rozbrzmiewa pieśń „Jeszcze Polska nie zginęła”. Cała zaczynam drżeć. Tak pięknie śpiewają i tak głośno, co za wspaniały chór. Z czego oni się tak cieszą, mimo tej nieustającej strzelaniny. Dlaczego? Co się tam stało, może już koniec wojny!?! Moje zaciekawienie wzrasta. Prawie biegam naokoło wózka. Chciałabym stąd jak najszybciej uciec, by zaspokoić tę niezmierną ciekawość. Dowiedzieć się, z czego oni tak bardzo się cieszyli. Tam musiało stać się coś bardzo osobliwego. Naprawdę „umieram” z ciekawości. Nie mogę jednak zawieść pani Pupyszowej i wyjść z mieszkania zanim ona powróci. Nawet starszy pan wyprostował się i z pytaniem w oczach spogląda poprzez otwarte drzwi do ciemnego pokoju. Drzwi wejściowe otwierają się szeroko i wpadają obie, Janka i Pani Pupyszowa. Obie bardzo mocno rozradowane. Na twarzy Pani Pupyszowej nie ma śladu po łzach, które ciągle roniła po odejściu męża do powstania. Jedna opowiada, druga uzupełnia. Nie można się zorientować, co było najważniejsze, czy to, że czołg, który podjechał pod naszą bramę nr 28 został podpalony przez kilkunastoletniego chłopca, który rzucił butelkę z benzyną, czy też fakt jednoczesnego rozwijania się z dwóch balkonów trzeciego piętra białoczerwonych flag. Te długie, szersze niż normalne, flagi pokryły dużą część budynku. To było nadzwyczajnie piękne wydarzenie tym bardziej, że zapalenie czołgu i rozwijanie flag odbywało się jednocześnie, jakby było z góry ustalone i to powodowało wybuch tej niespotykanej zbiorowej radości i spontaniczne odśpiewanie hymnu narodowego. Radość była tak ogromna, że słowa wyrwały się z pełnych piersi, bo się ludzie poczuli nagle wolni widząc te rozwijające się flagi, pełni radości z nadchodzącego bliskiego zwycięstwa nad okupantem. To musiało być piękne i serce mi się ścisnęło z zazdrości, że to niezwykle

wydarzenie odbyło się bez mojego udziału. Nie byłam tam na ulicy, to znaczy w bramie z widokiem na ulicę, ale w tym uczestniczyłam, bo tak ucho natężałam ciekawie, że słyszałam wszystko i wyczuwałam tę wspólną radość wyrażaną gromkimi okrzykami i śpiewem. Ach jak musi teraz pięknie wyglądać ulica pomyślałam, bo „w każdym oknie flaga”, „cała ulica we flagach”, „wszystkie okna oflagowane”, w kółko powtarzała Jadwiga. Ta się w końcu też tu znalazła. Pani Pupyszowa powróciła, więc nie musiałam pilnować już dziecka. Zbiegłam po schodach na podwórko. Do bramy nie było dostępu. Mężczyźni znosili worki wypełnione ziemią wykopaną z ogródka. Pan dozorca udostępnił klucz od furtki prowadzącej do ogródka, bo ta część podwórkowej zieleni była osiatkowana. W czasie mojego przebywania u pani Pupysz zaczęło się niszczenie ogródka. Wykopaną ziemią napełniano worki w celu zabezpieczenia bramy przed następnym, ewentualnym przybyciem czołgu. Te worki miały być ułożone, aż do sklepienia na całej powierzchni żelaznej bramy. Nawet planowano obłożyć workami furtkę, jeśli zajdzie taka konieczność. Worki pochodziły z tego sklepu. W sklepie pozostawiano pokwitowanie, żeby po tej całej wojnie właściciel nie miał pretensji, że mu zabrano towar bez pokwitowania. Byłam przy tym jak się sprzecali, czy pisać te kwity czy nie. Worków przybywało coraz więcej i więcej i układano z nich cały wał, bo już brama była obłożona aż do pułapu. Miała być teraz ułożona druga warstwa, żeby czołg nie mógł ani wjechać ani przebić warstwy worków ułożonych na bramie. Kręcąc się po podwórzu zauważyłam, że druhnny miały już przypięte do bluzek wstążeczki białe czerwone związane w kokardkę. Byłam już duża i miałam dziesięć lat, ale byłam trochę nieśmiała i nie miałam odwagi poprosić, żeby móc pracować tak jak one. Bardzo zazdrościłam tym starszym ode mnie koleżankom, mieszkankom budynków okalających oba podwórka numeru 28 ulicy Elektoralnej. One znały cały teren. Wiedziały, przez którą piwnicę, dokąd można dotrzeć. Pełna podziwu dla ich odwagi i zaangażowania usiadłam ze spuszczoną głową na jakiejś cegle. Było mi wstyd. Ogarnął mnie smutek i żal, że byłam bezużyteczna. Czy powstanie obejmuje też i moją Wolę? Och na Mszczonowskiej to bym czuła się u siebie i potrafiłabym każdego przeprowadzić przez ogrody i podwórka na każde wskazane miejsce. Tam na Mszczonowskiej, gdzie od urodzenia mieszkałam, mogłabym być też przewodnikiem. Nie mogłam opanować zazdrości. Jakiś skurcz podchodził mi do gardła. Były niewiele starsze, ale one tu mieszkały, a ja byłam tu obca i nie znałam piwnic. Ruch przez bramę odbywał się wyłącznie na samym początku powstania i w nocy. Podczas ostrzeliwania ulicy powstańcy przechodzili wzdłuż ulicy przez piwnicę, bo zaraz na drugi dzień już były przebite mury umożliwiającej przejście np. z numeru 28 do 30. W bramie, lub po wyjściu z któregoś z bocznych korytarzy, powstaniec wymieniał nazwę ulicy, na którą miał się udać i zaraz odbierała go druha i prowadziła w odpowiednim kierunku, do odpowiedniej piwnicy, którą przechodziło się z naszej posesji na drugą przylegającą lub też doprowadzała do innego patrolu dyżurującego w piwnicy, czy też u wlotu na sąsiadującą posesję. Druhny przeprowadzały wyłącznie przez swoje posesje lub piwnice należące do tych posesji. Przeżywając tę moją nieprzydatność, przestałam obserwować podwórko i niebo. A właśnie pikują samoloty nad dachami. Nagle krzyk i piski biegnących do piwnic. „Zrzucił nad nami, na nas!” Słyszę huk motorów, widzę lecącą bombę tuż nad sobą. Boję się strasznie, zaraz będzie po nas. Bomba leci coraz niżej prosto na nas i wbija się w ten rozkopany klomb! O Boże! Zamarłam w oczekiwaniu wybuchu... Cisza, otwieram oczy, bo słyszę jak krzyczą „nie wybuchła!”. Ten inny pikujący samolot wypuszcza bombę i ona spada na nasz dach, przebija go i wpada na strych. Też nie wybucha. To trzeci przypadek z bombą, żadna nie wybuchła. Cud. Ludzie głośno się modlą przed ołtarzykiem z Matka Bożą. Dziękują za ocalenie. Modlę się cichutko na swoim miejscu, cała nieruchoma ze strachu. Alarm lotniczy dla naszego podwórza odwołany. Samoloty odleciały i cisza. Ach, jakaż tam cisza, cały czas terkoczą karabiny, czołgi gdzieś strzelają, wybuchają bomby, nie u nas. Na podwórku życie znów się toczy. Wszyscy na swoich stanowiskach, druhnny biegają, kobiety przy kawie, chleb się piecze, bo zapach drażni, ślinka leci do ust i żołądek z głodu podchodzi aż do gardła. Czy ja dzisiaj coś jadłam? Zupy nie było, komu ugotować, bo obie siostry znosiły z mieszkania do piwnicy różności swoje i pomagały innym. Mego szwagra od samego rana nie było, bo brał udział, jako cukiernik w wypieku chleba. Obie siostry wypominały, jedna drugiej, dlaczego odkładały na później zrobienie zakupów. Teraz nie ma chleba, ani nic do chleba i nie ma też innych zapasów, że prawie nie ma co jeść. Przeniosłam się bliżej stróżówki, bo tam się coś działo. Jakiś pan coś montuje nad ustawionym w bramie stołem, rozwiesza jakieś druty, łączy i na koniec zawiesza wysoko megafon podobny do tych, przez które nadawano na ulicach ogłoszenia w ciągu całej okupacji niemieckiej. Słysząc jakieś trzaski, niewyraźny ochrypy głos. Za mną już stoi bardzo dużo ludzi, wszyscy czekają na rezultat tych prowizorycznych podłączeń. Wreszcie wydobywa się głos: „Halo, halo tu radio powstańczej Warszawy. Rodacy!” Wszyscy płaczą z radości. Po śmiejących się twarzach spływają łzy. Teraz, chociaż nie bardzo dokładnie, ale słysząc ogłoszenia: zdobyliśmy tę i tamtą ulicę, o ten gmach walczyliśmy. Słyszę oderwane słowa, mimo że stoję tuż, tuż przy megafonie. Wreszcie ten sam głos śpiewa „Oto dziś dzień krwi i chwały”, inne pieśni i „Czerwony pas, za pasem broń”. Mnie ścisną coś za gardło. Ciarki przechodzą po rękach, plecach, po całym ciele. Takie melodie słyszałam z naszego radia zanim ojciec je zakopał. Teraz tu w tej bramie zainstalowano wolne radio bijące się Warszawy. Słuchający radia stłoczyli się w taki sposób, żeby nie przeszkadzać mężczyznom noszącym worki z piaskiem, bo układali już następną warstwę worków na drzwiach bramy, pozostawiając tylko wolne wąskie dojście do furtki. Mimo,

że tłoczno, nie pozwalam tej ciźbie wypchnąć się na podwórze. Ucisk gardła nie ustaje. Serce moje, chociaż jestem cicho, tak bardzo się raduje, że bije tak szybko jak nigdy dotąd. O Boże, znów jeszcze piękniejsza melodia, jakiś wiersz, pieśń i koniec. Głos obiecuje na jutro o tej samej porze następną audycję. Wszyscy klaszczą w ręce. Cieszą się bardzo z tej zapowiedzi. Ludzie rozchodzą się uradowani.

Na podwórzu matki donoszą, że kończy im się żywność i nie mają jedzenia dla dzieci. Panowie należący do tego komitetu obiecują, że zajmą się tą sprawą. Na razie będzie rozdawany chleb tym dzieciom, które mieszkają pod 28. Mnie nie ma na liście, więc Jasia z Gieńkiem interweniują. Dopisano mnie na listę i otrzymuję pół chleba przepięknie pachnącego. Pyszny! I w dodatku pieczony przez mego szwagra. Zbliża się wieczór. Do piwnicy znosimy poduszki, kołdry i pierzyny. W naszej piwnicy było żelazne łóżko, więc postawiono je z prawej strony, a na ziemię, bo piwnica nie ma utwardzonej posadzki, położono dyktę, na którą mają znieść materace z łóżka. – Na tej dykcie, na kołdrze będzie spała Zosia i Jadwiga, a ty Jasiu będziesz spała na łóżku – postanawia głośno szwagier. Jadwiga, mimo że nie ma szyb w oknach wychodzących na ulicę, chce spać w mieszkaniu, na górze. Krótka sprzeczka zakończona ugodą i znoszą materace. Mamy luksus, własną piwnicę i w dodatku nie od frontu budynku, a więc bezpieczne pomieszczenie, bo nie dosięgnie żaden strzał, ani pocisk z czołgu i bomba nie doleci przez tyle sklepień. W holu piwnicznym, do którego schodzą schody z parteru, zrobiło się dosyć tłoczno. Jest to pomieszczenie mające ze trzy metry szerokości i jakieś cztery metry długości. Z prawej strony ze trzy metry od schodów we wgłębieniu grubości muru znajdują się drzwi idące do czyjejś piwnicy, zamknięte. Z holu przechodzi się do głównego, długiego korytarza, z którego prowadzą drzwi do poszczególnych piwnic. Nasza piwnica jest zaraz po skręcie w lewo, druga z prawej, więc nie mamy widoku przez otwarte drzwi na hol, a że okienka od piwnicy znajdują się pod samym sklepieniem, nie ma widoku i na podwórko. Nasz korytarz jest nieoświetlony i służy wyłącznie do przechodzenia i chociaż jest z półtora metra szeroki, na razie nikt nie ustawia krzeseł pod ścianami, tak jak to ludzie robią w holu pozostawiając wolne przejście z metr szerokie, bo tędy druhny przeprowadzają powstańców i różnych uciekinierów do korytarza, mijają naszą piwnicę i znikają gdzieś w głębi.

Po zakończeniu przystosowywania piwnicy na mieszkanie wychodzimy jeszcze na świeże powietrze. Strzelanina, jak zawsze wieczorem, ustala. W nocy nie ma też nalotów. W furcie jest pełno ludzi. Idę tam. Przeciskam się i staję pod murem domu wciśnięta w załamanie fasady. Od strony ulicy Żelaznej pod samym murem domów fala ludzi przechodzi obok naszego domu i idą dalej w stronę Solnej. Ci przemijający ludzie to całe rodziny i różne pojedyncze osoby. Wszyscy bez wyjątku obładowani przeróżnymi bagażami. Niektórzy z małymi tobołkami, a inni niosą w wielkich płachtach nawet pierzyny na plecach. Uciekają z tym, co można zabrać ze sobą do rąk. Wszyscy mijający mnie nie idą cicho. Głośno mówią. Krzyżują się pytania, jakie im zadają stojący w bramie. „Dokąd zmierzają, skąd i dlaczego?” Mijający pytają, jaka to ulica i jaki numer domu. Odpowiadają, ja z Żelaznej, a ja z Krochmalnej, Grzybowskiej. My uciekliśmy w porę z Woli. Ludzie, co tam się dzieje! Rozstrzeliwują wszystkich, palą dom po domu, tam jest piekło. Idziemy na Starówkę, bo tam bezpieczniej. W żadną wąską uliczkę nie wjedzie czołg. Tam zostaniemy, aż do wyzwolenia, aż do końca powstania. Chcemy przeżyć i doczekać zakończenia wojny. Obok mnie przechodzi jakaś pani i wszystkim zadaje pytanie – ludzie nie widzieliście mojego syna? Taki wysoki blondyn. Gdyby tędy przechodził to powiedzcie mu, że poszłam do ciotki. – Popatrzyłam na nią bardzo przejęta, a ona powiedziała mi adres i ze łzami w oczach poprosiła, żebym synowi to przekazała. Tak stałam jak sparaliżowana od tych okropnych wiadomości i czekałam, że może nadejdzie ten syn i powiem mu gdzie poszła jego matka. Powtarzałam ten adres, żeby nie zapomnieć, ale przechodzili różni ludzie z jeszcze gorszymi od tamtych wieściami i zadawali podobne pytania, na które nie mogłam odpowiedzieć. Nie chciałam zawieść tej nieszczęśliwej matki. Czekałam więc na jej syna. Zrobiło się już ciemno, wtuliłam się w to zagłębienie z obawy, że zaraz karzą mi iść do podwórka. Nieprzerwanie płynęła struga ludzi i zadawali wciąż to samo pytanie, „gdzie się znajdują” i „którędy iść na Starówkę.” Te wszystkie opowieści wcale nie wpłynęły na mnie dobrze. W sercu zagościł strach. W końcu znalazła mnie Jadwiga. Strofowała mnie i zabrała ze sobą do piwnicy. W piwnicy, jak zapowiedziała, czekała mnie niespodzianka. Przyszedł stryjek Mietek! To był najmłodszy brat mojego taty – Mieczysław Skirzyński. Powstanie zastało go w mieście. Przyjechał z Woli po towar do sklepu. Strzelanina i toczące się w koło walki uniemożliwiły powrót na Redutową do cioci Mani, która została z trójką dzieci. Zaraz drugiego dnia dotarł na Twardą, ale go nie przyjęli, bo nie miał broni. Najchętniej przyjmowali akowców, byłych wojskowych, podoficerów i oficerów. Tyle było zgłoszeń, że mogli wybierać. Zrezygnowany tą odmową postanowił powrócić na Wolską 165a do kamienicy pana Puczkowskiego, gdzie wynajmowali mieszkanie lub na Redutową do babci Ciszkowej. Próbował na różne sposoby dostać się do domu, ale wszelkie próby przedostania się przez znane mu przejścia, w stronę kościoła Świętego Wawrzyńca, były niemożliwe do pokonania. Wszędzie trwały bezustanne walki. Wujek, mimo że korzystał z przejść, podobnych jak tu na Elektoralnej, podwórkami lub piwnicami, to czasami był zmuszony przeskakiwać ulicę, na których były czołgi bijące do barykad. Najgorzej było koło Młynarskiej, gdzie powstańcy zaciekle bronili swojej barykady. Był tam i spotkał nawet znajomych, teraz powstańców, którzy walczyli na barykadach i oni właśnie kategorycznie odradzali wujkowi przedostanie się ulicą Wolską w stronę prawosławnego

cmentarza i do Redutowej. Wujek był zupełnie zmieniony, jakiś obszarpany, brudny. Łokcie całe w śladach po obtarciach, jakby po czołganiu się. W kółko opowiadał któreś próbował dojść. Podczas tych prób przebicia się w kierunku zachodnim przeżył różne przygody. Sypiał na podwórkach. Raz w jakiejś piwnicy. Pomagał w różnych sytuacjach ludziom i powstańcom. Kiedy bomba przebiła wszystkie sklepienia pięciopiętrowej kamienicy i zburzone ściany zawały wejścia do piwnic, pomagał wydobywać zasypanych gruzem. Trzeba było pomóc odkopać ludzi zasypanych w piwnicy. Nosił rannych do szpitala. Nikomu nie odmawiał pomocy. Był bardzo zmęczony, ale kiedy go Janka zapytała, czy próbował dojść do Redutowej od strony ulicy Górczewskiej, ożywił się i jutro z samego rana postanowił wyruszyć znów, bo przecież Mania na pewno się zamartwia. W kółko powtarzał to, co go spotkało pod tym wszechobecnym obstrzałem i w końcu zasnął leżąc obok mnie. Kiedy się obudziłam wujka już nie było. Siostry były zmartwione tym wujka postanowieniem, bo było coraz niebezpieczniej. Jasia żalowała, że wujkowi zadała to pytanie o Górczewską. Przed wyjściem planował dostać się do ulicy Redutowej przez cmentarz prawosławny od strony ulicy Elekcyjnej, jeśli oczywiście dojdzie tam od strony ulicy Górczewskiej. Mówił moim siostronom – dojdę na Elekcyjną do Cyrańskich i od nich przejdę przez ogród na cmentarz i zaraz będę na Redutowej. – To była taka sama droga przez ogród i cmentarz prawosławny, jakiej używaliśmy z tatusiem powracając od wujostwa Cyrańskich do domu na Mszczonowską.

Wczoraj wieczorem nie widziałam ulicy, bo było ciemno. Dzisiaj postanowiłam koniecznie zobaczyć ulicę. Za wszelką cenę muszę przedostać się przez bramę do furtki i wyrzucić na ulicę, nacieszyć się tymi flagami. Ach, myślałam, jaki to musi być piękny widok we wszystkich oknach flagi i do tego w pełnym słońcu. Tak wielkie było to marzenie, że postanowiłam przedostać się do furtki zanim rozpocznie się strzelanina. Wykorzystałam moment, kiedy furtka była otwarta i jakiś powstańiec podawał hasło dyżurującemu w bramie. Wyrzuciłam na ulicę. Trwało to bardzo krótko. To, co zobaczyłam wywarło na mnie nieopisane wrażenie niespodziewanej radości i zachwytu, ale serce moje ścisnęło przerażenie z powodu okropnego zniszczenia. Wczoraj moja uwaga była skierowana na ludzi ciągnących sznurem i na ich opowiadania. Nie starałam się wpatrywać w głąb ulicy, bo było ciemno. Dzisiaj aż mi dech zaparło. Nie, dlatego że wreszcie zobaczyłam ulicę we flagach, tylko z powodu tego okropnego zniszczenia. Z czego oni się tak cieszyli? Na jezdni pełno gruzu i tynku oderwanego z fasad domów. Wszędzie wyrwy w murze, nie ma balkonu na pierwszym piętrze. Na wysokości pierwszego piętra nie ma prawie okien, tylko zniekształcone ostrzeliwaniem zarysy otworów okiennych. Cała fasada od frontu bardzo zniszczona, bo czołg strzelał do zawieszonych flag w oknach i na balkonach. O Boże, co się dzieje, kto to naprawi? Znika piękno mojej ulicy. Szybko zerkam na prawo. Kościół stoi cały! Wycofałam się z bramy. Zawiedziona przeszłam obok zrujnowanego wykopami ogródka, z tym ogromnym wykopanym dołem i wbitym z boku niewypałem bomby. Przeszłam do piwnicy, usiadłam na łóżku i zaczęłam przysłuchiwać się rozmowom. Piwnica pełna ludzi „nie od nas”. Niektórzy mówią, że byłoby lepiej te flagi pozdejmować, bo do nich tak biją z czołgów. Nikt jednak tych rad nie słucha. Wszyscy są zgodni co do jednego, do nas do środka Niemcy się nie dostaną. Nie, do nas nie dostaną się nigdy! Brama obłożona jest workami, do furtki prowadzi korytarzyk, który tylko na noc uwalnia się z worków umożliwiając przejście powstańcom. Furtka w dzień właściwie nie spełnia swojego zadania od czasu, gdy w dzień czołg prawie nie odjeżdża sprzed domu. Ruch odbywa się wyłącznie piwnicami i przez wyłom w murze.

Czwarty dzień rozpoczyna się źle. Pod bramą nie jeden, ale chyba dwa czołgi. Biją po tej żelaznej bramie. Słychać też szybciotkie całe serie skierowane w stronę okien. Widocznie boją się butelek z benzyną. Gdzieś dalej od strony Hal Mirowskich słychać pojedyncze i seryjne wystrzały. Cały czas latają samoloty. W niewielkich odstępach czasu słychać detonacje bomb. Tak jak by się umówili, że raz wybuch bombowy, raz wystrzał z czołgu. To znów serie z ciężkiej broni maszynowej. Cała drzę, nie wiem gdzie się schować, bo w piwnicy też to słychać aż dudni. Raz kanonada się wzmaga, to znów na moment cichnie. Samoloty odleciały, ale czołgi cichną na jakiś czas i znów zaczynają. Co się tam dzieje? Teraz strzelają jakby wszystkie na raz. Może chcą przedostać się do nas przez wyrwaną ścianę? Może dlatego biją już kilka godzin, bo nie mogą przebić muru na dole? Jak strasznie strzela ten karabin. Na pierwszym podwórku nie ma już nikogo, wszyscy zgromadzili się na drugim, a że jest mniejsze, bo nie ma kamienicy zamykającej czworobok, więc jest tłoczno, a zwłaszcza przed wejściem do naszej piwnicy i przy wyłomie w murze rozgraniczającym posesję. Panikę wywołuje jakiś pan mieszkający od strony ulicy. Był w mieszkaniu na pierwszym piętrze przed chwilą i natychmiast uciekł, bo zawalił się sufit. Strzelają z czołgu na drugie piętro i puszczają całe serie z broni maszynowej. Stoję między tymi spanikowanymi ludźmi sama, bo Gieniek i Jasia poszli gdzieś do innych piwnic szukać Jadwigi, gdyż prawie od rana nie ma jej w naszej piwnicy, ani na podwórku. Powraca i Jasia i Gieniek. Nie znaleźli jej nigdzie. Stłoczeni tu ludzie bardzo są zdenerwowani, ostrzał nie ustaje. Wśród tych huków i serii karabinowych wyraźnie słychać kroki kogoś biegnącego po podwórku. Wpada między ten tłum Jadwiga. Janka nie wytrzyma. Krzyczy prawie płacząc – gdzie ty była zwariowana dziewczyno! Do bramy biją już bez przerwy od prawie godziny, a ty gdzie latasz. Wszyscy cię szukamy. – Jadwiga też odpowiada podniesionym głosem – spałam na górze, w naszym mieszkaniu. Tak bardzo byłam niewyspana i zmęczona, że postanowiłam dobrze się wyspać. Na łóżko położyłam pierzynę i kołdrę i od razu twardo zasnąłam. Miałam sen o tym, o czym wszyscy

marzymy i czego oczekujemy od pierwszego dnia powstania. Śni mi się, że Ruscy czołgami dojechali z Pragi i biją z czołgów do Niemców. We śnie widzę na czołgach czerwone gwiazdy. Jestem bardzo uradowana, cieszę się z nadejścia pomocy. Nagle budzę się na dobre, zrywam się z łóżka i biegnę do okna, żeby ich pozdrowić. Wychylam się z okna i widzę na czołgu hakenkreutz. Dłońmi odrywam się od parapetu do tyłu, a seria pocisków przesywa sufit. Słyszę łoskot przekręcanej wieżyczki czołgu i całe serie kierują już po wszystkich oknach drugiego piętra. Przynoszę butelki z benzyną do pokoju. Zapałki też znalazłam. Nie wiedziałam gdzie jest knot. Tak się bałam i trzęsłam, że nie mogłam znaleźć nożyczek do pokrojenia koszuli. Gorączkowo kręcę się i nie wiem jak podejść do okna. Jak zniszczyć ten czołg? Pod którym oknem on stoi, bo nie wiem, z którego zrzucić butelkę. Gdzie do cholery podział się ten knot od lampy? Ruszyły się gąsienice czołgu, zmieniają pozycję. Wykorzystuję ten moment i przybliżam się do okna. Znowu seria po parapecie i po suficie. Odpada cały płat tynku od sufitu. Kanonada za kanonadą. Podłoga jakby się zapadała. Z sufitu sypie się reszta tynku. Przebił podłogę? Co się stało? Zdjął mnie okropny strach. Zupełnie oprzytomniałam po śnie. Rzuciłam się do schodów. Nie wysadziłam w powietrze czołgu! Jaka głupia, przecież mogłam oderwać jakikolwiek kawałek szmatki, a ja szukałam knota od lampy. Miałam benzynę, zapałki... – i się rozpląkała.

Zbliżał się kolejny wieczór i czołg odjechał. Radość prysła. Zaczęłam się bać. Nie ma już nadziei, że powstańcom pomogą wojska z Pragi. Przecież wszyscy mówili, że zaraz wejdą do Warszawy. I nic. Mężczyźni, jak co wieczór, znowu odkładają worki z piaskiem, by otworzyć furtkę. Gieniek z wujkiem pomagają odnosić ciężkie worki, żeby raniutko znowu obłożyć nimi furtkę. Wujek wrócił zrezygnowany i zrozpaczony nieudaną następną próbą przedostania się do rodziny. Próbował dojść do ulicy Górczewskiej, ulicą Działdowską, Wawelberga, ale na skrzyżowaniu z ulicą Górczewską musiał zawrócić. Tam było piekło.

W nocy coraz więcej ludzi ucieka ze wschodu na zachód miasta. Dużo ludzi przechodzi przez nasze podwórko. Idą wszyscy przeważnie na Starówkę. Mało kto zatrzymuje się i zostaje z nami. Wszyscy są wystraszeni, boją się i tego strachu nie ukrywają. Też się niepokoję. Przestaje mnie interesować wszystko, co dzieje się wkoło. Zazdroszczę nadal wyłącznie druhom, które już teraz ciągle przechodzą w tę stronę i z powrotem obok mojej piwnicy. Tak w kółko. Przeważnie w tamtą stronę prowadzą kogoś, a nawet całe grupy i powracają same.

Jest już piąty dzień powstania. Do tej pory było wiele radosnych chwil, czasem grozy i paraliżującego strachu, ale dzisiaj to zaczyna być już głodno. Wczoraj, czy było to przedwczoraj, Jadwiga z Janką wykorzystywały ten czas, kiedy nie było na ulicy czołgu i pobięły do hal, jak robili to inni, żeby przynieść jakąś żywność, jakieś konserwy. Było jednak za późno, bo bomby przebiły posadzkę i piwnice, a w nich żywność, były już całkiem zalane wodą. Kiedy tam były, nagle nadleciały samoloty i zaczęły bombardować. Więc one w nogi, zaczęły uciekać. Od bomby utworzył się taki głęboki lej na ulicy Solnej zasypanej ceglami, że drogę powrotną miały bardzo trudną. Powróciły z pustymi rękami, bardzo przestraszone, ale szczęśliwe, że wróciły żywe. Do chleba tylko marmolada. Nie marudzę, spokorniałam. Z piekarni otrzymujemy ostatni chleb. Mąka, ta ze sklepu, skończyła się. Janka z Jadzią namoczyły wczoraj stary groch i wyjęły, suchą na pieprz, wędzoną golonkę z pieca, gdzie była przechowywana, bo w mieszkaniu nie było spiżarki. Postanowiły ugotować grochówkę. Z samego rana zanim znowu zacznie się strzelanina zaplanowałam pójść i ja na górę. Muszę się porządnie wymyć, bo końca powstania nie widać, więc nie można liczyć na to, że się wykąpię. Zależna jestem od Jadwigi, bo mogę umyć się dopiero wówczas, gdy będzie ciepła woda. Na razie chodzę to tu, to tam. W przerwach ostrzałów siostry na zmianę biegają na drugie piętro i dokładają do kuchni, by ogień nie zgasł. Zaglądają też do garnka. Golonka to ostatni zapas, na ostatnią zupę, bo na jutro nie ma już ani kaszy, ani ziemniaków do zupy. Nie mogę doczekać się ani na ciepłą wodę, ani na zupę. Najpierw oświadczały, że groch jest za twardy. Teraz podobno groch jest ugotowany, natomiast golonka jest twardawa, ale ziemniaki są już włożone do garnka. Jestem bardzo głodna. Nie mogę doczekać się na tę zupę. Przebywanie na drugim piętrze, by doglądać gotowania nie było możliwe ze względu na ciągle ostrzeliwanie bramy z czołgu i ciągle naloty lotnicze. Taka sytuacja spowodowała, że kilka razy już wracałam ze schodów, bo za bardzo bałam się nadlatujących samolotów i tego bombardowania. Teraz ucichło na tyle, że idę na drugie piętro razem z panią Jagą, która mieszka nad nami. Jej synek zasnął w naszej piwnicy, wujek Mietek pozostał z nim. Jadzia idzie też z nami. Ma jej pomóc znieść pelisę i ubranie, które ma zamiar zabrać ze sobą, gdyby zaszła potrzeba opuszczenia Elektoralfnej 28. Ciekawość zwyciężyła nad głodem i poszłam razem z nimi na trzecie piętro. Byłam tak bardzo przerażona nastrojami przygotowywania się do wyjścia, że na krok nie opuszczałam Jadwigi. Pani Jaga była niewiele starsza od naszej Jadzi, ale prosiła ją o poradę. Chce zabrać ze sobą wszystko złoto i wynieść zaszyte w futrze. Największy kłopot jest w tym, że waha się czy zabrać też złoto należące do jej męża. Wchodzimy do mieszkania. Na ścianach piękne obrazy, w koło stoją meble odsunięte daleko od okien. To któregoś dnia, na prośbę pani Jagi, odsunął je Gienio i wujek Mietek. Te meble były tak ładne, że najładniejsze, jakie dotąd widziałam. U cioci Gaworkiej, syna pani Niuty i w willi Weigla nie podobały mi się tak, jak te tutaj. Wystrój całego mieszkania był nadzwyczaj szykowny. Odsłoniłam pluszową kotarę i zajrzałam głębiej. Wszystko mi się tu podobało, rzeźby i różne caczuszka ustawione na niektórych

szafkach. Zaniemówiłam z zachwytu. Pani Jaga wyjęła z szafy ubranko dla dziecka, wyszukała grubą igłę i nici. Podawała to Jadzi. Sama załamywała ręce, bo nie mogła znaleźć kluczy od biurka, gdzie była schowana reszta złota, którego nie używała często. Prawie płakała. Jedyne wyjście, trzeba będzie poprosić dozorcę, żeby przyszedł z siekierą i rozbił zamek. Patrzyłam z niedowierzaniem. To piękne biurko zniszczyć – to okropne pomyślałam. Szkoda. Pani Jaga postanawia na razie zabrać tę biżuterię, którą dała Jadzi do potrzymania. Jutro może znajdzie jakiegoś ślusarza i wyjmie złoto z biurka. Trochę się uspokoiliłam. Szkoda mi było tego przepięknego, ciężkiego mebla. Tego jej złota jest tak dużo, że nie wiem jak ona to zaszyje, żeby nie było widoczne. Grube bransoletki, pierścionki, brosze, łańcuszki z wisiorami. Ależ tego jest, chyba z kilogram! Jadwiga swoje zaszyła, ale tego było nieporównywalnie mniej i też było widać, że tam na dole pelisy jest coś zaszyte. Schodzimy na dół. Pozostają na drugim piętrze i wchodzą do mieszkania Jasi. Korzystamy tylko z kuchni i z holu. Do pokoju są drzwi otwarte, ale do środka nie wchodzimy. Strzelanina bez przerwy. W holu postawiona jest ława, na niej miednica z wodą i obok kostka mydła. Myję się, ale nie tak dokładnie jak planowałam. Wzmaga się hałas dochodzący z ulicy przez okna pozbawione szyb. Cały parkiet w pokoju usłany jest tynkiem i kawałkami cegieł. Spod nich prawie nie widać już potłuczonych kawałków szyb. Ogromny wzór na parkiecie jakby gwiazdzisty, z różnokolorowego drewna, zupełnie znikł pod warstwą białawego kurzu, tynku i gruzu sypiącego się z sufitu. Ten widok przygnębia mnie i powoduje niepokój i rozkojarzenie. Jadzia pomaga mi wytrzeć się, aby było szybciej, bo wujek Mietek przyszedł już na grochówkę. Odstawiła miednicę pod antresolę, a ja przesunęłam tą dużą kostkę mydła na brzeg ławy. Wujek garnek z zupą postawił na ławce i trzymając talerz w ręku jadł zupę. Niecierpliwie czekałam, aż mnie Jadzia uczesze i zaplecie warkocze, bo zapach majeranku sprawiał, że ślinka leciała mi do ust. Nastąpiło to, czego najbardziej się obawiałam, nadleciały samoloty. Jadzia chwyciła mnie za rękę i zbiegłyśmy do piwnicy. Kiedy samoloty odleciały i okazało się, że bombardują gdzieś dalej, znów poszłyśmy do mieszkania zjeść obiad. Przed naszym wyjściem wujek powiedział, żeby nie zapomnieć przykryć zupy pokrywką, bo może w czasie nalotów spaść tynk i będzie po jedzeniu. Jadzia nałóżła mi zupy na talerz, wciągając zapach już nie taki intensywny jak przed godziną. Nabieram do ust i natychmiast wypluwam. Samo mydło. Siostra wylawia z garnka kostkę rozmoczonego mydła. Zupa i bez mydła nie do jedzenia. Rozpłakałam się. To było nasze ostatnie gorące jedzenie. Chleba kromeczka. Zjadam nawet okruszyny i wyskrobuję słoik po marmoladzie. Jadwiga wybiera z zupy same ziemniaki i próbuje to jeść. Nie wiem, co na ten nieszcześliwy przypadek przyklejania się mydła do pokrywki powie Jasia i Gieniek. Janka wcale nie miała ochoty na tę zupę. Na nic nie miała apetytu. Gieniek zawsze komuś pomagał i czasami dostawali z wujkiem zupy z tego gara przeznaczonego dla powstańców.

Na dole, na podwórku przy ołtarzyku Matki Bożej grupa kobiet głośno się modli. Jakaś biegająca, niektórzy z tobołkami na plecach gdzieś się wybierają. Nie ma tyle ludzi, co zazwyczaj o tej porze dnia. Wujek i Gieniek odnoszą worki z piaskiem na podwórko, bo tak im polecono. Zwykle przy tej pracy jest dużo więcej mężczyzn, a obecnie tylko z dziesięciu. W piwnicy pani Jaga z Janką zajęte są wszywaniem złota do futra. Właściwie nie jest to futro a pelisa, palto podszyte futrem z kołnierzem futrzanym, podobnie jak naszej Jadzi. Pelisa pani Jagi jest z wyglądu jakaś bogatsza, jakby grubsza, bo ona wzięła palto męża. Wieczorem jak zawsze grupa mieszkańców gromadzi się przy otwartej już bramie. W czasie dnia zebrani mieszkańcy zdecydowali odrzucić w nocy wszystkie warstwy worków w tunelu wjazdu i pozostawić jedną warstwę na żelaznej bramie. Niemcy dobijają się już od kilku dni i nie ma nadziei, że odstąpią dopóki nie wejdą do środka. Część ludzi uciekła, a reszta postanawia zostać, ale wszyscy jakby są już przygotowani do opuszczenia domu. W bramie tłok, pod murami przepływa, jak co wieczór, fala uciekinierów z tej części miasta położonej na zachód od nas. Jakaś złowroga cisza zalega, daje się wyczuć jakaś zagadkowa groźba w pytaniach pozostawionych bez odpowiedzi. Ruch straszny. Nie tylko cywile, ale wielu powstańców zatrzymuje się, pyta o adres i idzie dalej lub wchodzi do furki. Wszyscy zmęczeni. W bramie stoi mój szwagier Gieniek, Janka, Jadzia – moje obie siostry i wujek. Wszyscy ciekawi wiadomości. Każdy mijający bramę opowiada chaotycznie przerażające rzeczy, których dopuszczają się Ukraińcy w niemieckich mundurach. Dochodzi do furki naszej bramy grupa powstańców w panterkach, w niemieckich hełmach z opaskami biało-czerwonymi na rękawach tych panterek i na hełmach. Jeden z nich ma na głowie czapkę niemieckiego oficera. Gdyby nie ta opaska na rękawie, to można byłoby się mocno pomylić. Idący na przedzie tej grupy jest ubrany w mundur chorążego polskiego wojska i zapytuje o nazwę tej ulicy i numer domu. Mój szwagier poznaje w nim swego kolegę z pracy Bogdana Ołtarzewskiego i łapiąc go za łokieć mówi – Bogdan jesteś u nas, to jest Elektoralna 28! – To jesteśmy na miejscu – mówi pan Bogdan. – Tędy mamy iść dalej – dopiero teraz witają się. Żeby wejść do bramy obowiązuje podanie hasła, którego nigdy nie udało mi się dosłyszeć. Bogdan dyżurnemu bramy wymienia obowiązujące w tym dniu hasło i podaje ulicę docelową. Wchodzimy na podwórko i kierujemy się w stronę drugiego podwórka. Na przedzie idzie powoli, przydzielona w bramie tej grupie, drużna. W międzyczasie, idąc od bramy, Bogdan opowiada straszności z walki z przeważającą siłą niemiecką. Jest bardzo zmęczony, bo jak powiedział nie spał prawie od rozpoczęcia walk na Woli. Opowiadał o innych wspólnych kolegach i miejscach, gdzie oni walczą i o niektórych, którzy już zginęli. Często wymieniane były słowa: „pasta”, „parasol”, imiona osób, których nie znam i nawet moje „Zośka”, na co od razu zareagowałam, ale

oni popatrzyli na mnie z uśmiechem. – To nie o tobie dziecko – któryś powiedział. Jadwiga pytała o swego narzeczonego Tadeusza, o Wacka i o innych, których znałam z ulicy Mszczonowskiej 24, gdzie pracowali w warsztacie samochodowym u hrabiny Marii De Lawois. To gorączkowe opowiadanie uzupełnia to, co nam już mówił wujek o walkach na Woli. – Walczyłem dwa dni z czołgiem, a kiedy barykada była prawie rozwalona podczołgałem się pod mur domu za węgiel i strzelałem już sam do czołgu z automatu, do ostatniego naboju, bo wszyscy z mojej grupy zginęli. Chodziło o jak najdłuższe utrzymanie tej barykady, bo ona zamykała dojazd do miasta. Na Woli walki są okropne o cmentarze. Niemcy sprowadzili niesamowicie dużo wojska i ta ogromna przewaga całkowicie uniemożliwiła opanowanie przez powstańców całej Woli. Toczą się jeszcze tam walki, ale ja teraz dostałem rozkaz wycofania z Woli i udania się na Stare Miasto, gdzie przeprowadza się całe dowództwo powstania. – Patrzyłam na pana Bogdana i w myśli odgadywałam jak tam musiało być okropnie, skoro ten piękny męczyzna jest teraz taki zmęczony, wymizerowany, ze wzrokiem skierowanym gdzieś w przestrzeń, jakby wpatrywał się w tamto zdarzenie jeszcze raz i powtórnie je przeżywał. Podczas tego opowiadania, kiedy zatrzymywał się jakby szukał w pamięci, towarzyszący mu żołnierze podpowiadali imiona i uzupełniali szczegółami tragiczne momenty. Wreszcie podniósł głowę spoglądając w niebo z tego podwórza – studni i ożywionym już głosem, zwracając się do szwagra mówił – Gieniek chodźcie z nami na Starówkę, tu was nic dobrego nie czeka. Jutro będą tu już Niemcy. Zostawcie wszystko i uciekajcie z nami. Tam są wąskie uliczki i żaden czołg tam nie ma dostępu. Magazyny żywnościowe dobrze zaopatrzone. – Tu wymienił stanowisko swego ojca w randze majora, pełniącego jakąś odpowiedzialną funkcję w dowództwie powstania. Operował pseudonimami „Lis”, „Wilk” i jakieś inne nazwy trudne do zapamiętania. Byliśmy już na drugim podwórzu, bardziej słoczeni, bo staliśmy przed drzwiami korytarza, z którego schodziło się do naszej piwnicy. Czekaliśmy na pana Bogdana, bo chłopcy skorzystali z publicznych ustępów, które znajdowały się na drugim podwórku. Gieniek Jasię informował, że na Starym Mieście, przy ulicy Mostowej mieszka jego ciotka. Mogą się tam u niej zatrzymać. To przecież nie potrwa długo. Jadwiga natomiast była przeciwna tej propozycji i krótko powiedziała, że zostaje tutaj razem z Zosią. Wujek się wahał, co ma zrobić. Kiedy już byliśmy w komplecie, zeszliśmy do piwnicy. Przy otwartych drzwiach do naszej, nastąpiło krótkie wahanie. Idziemy czy zostajemy? Janka szybko narzuciła na siebie palto, więc Gieniek złapał dawno przygotowaną walizeczkę, a wujek przyłączył się do nich. Pan Bogdan wcisnął Jadzi do rąk teczkę. – Weź. Jeśli zostajesz, może ci się to przydać, to jest cukier i kasza, nic więcej tu nie mam. My dostaniemy tam z magazynów – powiedział. Z Jadzią odprowadzamy ich. Dobiegamy do grupy i idziemy długim, ciemnym, piwnicznym korytarzem. Dochodzimy do końca, skręcamy w lewo, a tam w otworze muru stoi jakaś panienka. Ta „nasza”, dochodząc bliżej, pozdrawia ją króciutko mówiąc – ta grupa na Leszno – i odchodzi z powrotem. Struchlałam z zaskoczenia. To takie proste, tylko przez podwórze do piwnicy, korytarzem do wyłomu w murze, a dalej ktoś inny. Coś zagotowało się we mnie. Dlaczego ja nie potrafiłam z nimi się dogadać, dlaczego tego nie robiłam?! Przecież to takie proste! Przez czas mojego rozmyślenia nad swoim problemem, przeskoczyliśmy przez ulicę i znaleźliśmy się w środku budynku na wielkiej betonowej powierzchni, bo to nie było podwórze takie jak nasze i stojąc blisko wyjścia na ulicę zaczęliśmy się żegnać. Nie można było płakać, bo „chłopcy”, stojąc w drzwiach pokazywali cel swojej podróży, i jakby ogarnął ich odczuwalny spokój. Nadto żadnego wkłó człowieka, wybuchli chyba wstrzymywaną od dawna wesołością. Zaczęli żartować i opowiadać jakieś śmieszne historyjki. Zdejmowali hełmy i czapki niemieckie, bo teraz wchodzili na swoje tereny i mogli być potraktowani kulą od swoich. Opaska na rękawie nie zawsze wystarcza. Koledzy pana Bogdana bardzo się ożywili i widać było, jak bardzo się cieszą z ocalenia życia. Pan Bogdan spoważniał i ponaglił do wymarszu. Więc zaczynamy się żegnać. Wszyscy obejmują się i wypowiadają ostatnie rady. Siostry popłakały się, a Jasia mnie ucałowała. Pożegnałam się z wujkiem i szwagrem. Podeszłam ostrożnie do ogromnych drzwi otwartych na oścież. Wychyliłam głowę, a tam wielka przestrzeń bez jednego człowieka. W dali jakieś zabudowania. Jak oni to przeskoczą? Odeszli w swoją stronę, a my z Jadzią zostałyśmy same. Jest późno. Wracamy szybko tą samą drogą, czyli piwnicami. Na miejscu powiadamy nas, że na noc już nie nałożą worków nawet na furtkę, bo nie ma, kto tego zrobić. W piwnicy pozostało dużo mniej osób. Pani Jaga śpi razem z nami w piwnicy. Jest też pani Pupyszowa z dziećmi i tym swoim chorym ojcem. Szybko zasypiam nie całkiem rozebrana. W niedzielę raniuteńko ubieram się pośpiesznie, bo do bramy wali czołg i huk rozrywa głowę. Jadwiga ponagliła mnie. Ze zdenerwowania tą okropną strzelaniną nie mogę znaleźć mojej bluzeczki. Wczorajsze rozstanie i wprowadzenie się innych osób spowodowały zmiany w piwnicy. Moje rzeczy zostały gdzieś przelożone. Pozostawiam na sobie górę od piżamy, nakładam na to garsonkę zimową. Stwierdzam, że urosłam od poprzedniej zimy i spódniczka jest mocno za krótka, więc wkładam na to spódniczkę od stroju krakowskiego, bo jest dłuższa i pod ręką. Zakładam płaszcz i biorę do ręki teczkę, tę od pana Bogdana i wychodzę do piwnicznego holu. Jest dużo mniej ludzi niż wczoraj. Pouciekali do innych piwnic z wejściami z innych korytarzy, mimo że obiecywali zostać tutaj. Ktoś każe policzyć pozostałych. Jadwiga mówi – jest nas tylko 14 osób, ludzie trzymajmy się razem. – Czołg wciąż bije, ale jakby już nie do naszej bramy, gdzieś dalej. Rozróżnia się odgłos uderzeń kolbami do drzwi i trzask wywracanej furtki. Na podwórku stukot wojskowych, podkutych butów. Strach mnie

paraliżuje. Strzelanina, krzyk „raus!”, „raus!” Kobiece głosy i płacz dzieci dochodzą aż tu. Ta ludzka kotłowanina, tam na podwórku, trwa już niewiedomo jak długo. Moja siostra radzi wszystkim wyjść z holu i zebrać się bliżej drzwi naszej piwnicy, bo nie będziemy widoczni ze schodów. Zanim się to stało słycać odgłos żołnierskich butów. To Niemiec wszedł do korytarza nad nami. Otwierają się drzwi nad schodami prowadzącymi do holu piwnicznego. Kilka kroków po schodach i głos kobiecy zapytuje – jest tu kto? Wychodźcie, bo będziecie spaleni żywcem. Zaraz podpalą dom i wysadzą w powietrze. Wychodźcie, nie bójcie się. – Zamieram w bezruchu i czekam, czy ktoś się ruszy. Nikt nie daje znaku życia, więc i ja milczę. Kobieta i żołnierz odchodzą, kroki milkną. Z podwórza słycać krzyki ludzi tłumnie wychodzących z korytarza. Jakiś strzał, seria z automatu. Krzyk kobiet i ponaganie Niemców: „Raus, raus! Sznel polnisze banditen”. Wymowna cisza zapanowała w piwnicy. Mimo paraliżującego strachu, słycać szepty. W rezultacie postanawiają jednak głębiej się schować w korytarzu, ale nikt nie chce ruszyć się z miejsca. Za późno. Znów kroki na korytarzu i ponownie najpierw po niemiecku i to samo wypowiedziane głosem kobiecym, po polsku. – Jeśli jest tu kto żywy, to niech wychodzi, bo za pół godziny dom będzie podpалony. Wychodźcie, bo zginiecie żywcem w ogniu. – Podobnie jak poprzednio odeszli. Wszyscy pozostali na swoich miejscach. Po chwili niektóre osoby postanawiają wyjść. Zanim zebraliśmy się w holu ponownie buty dudnią nad nami. Wszyscy cofają się. Każdy chowa się gdzie może. Byłam najbliżej wyjścia, nie było czasu na odwrót do korytarza prowadzącego do piwnic. W holu była wnęka od drzwi piwnicznych. Zdecydowałam się schować w to wgłębienie. Przywarłam do ściany, na pewno byłam widoczna. Staralam się, na ile było to możliwe, wcisnąć się w ścianę. Wydawało mi się, że robię się płaska jak papier. Twarz wtulałam między cegły, nos mi się spłaszcza, aż boli. Mówię gorączkowo pacierz prosząc Pana Boga, nie o utrzymanie przy życiu, bo nie da się uciekać przed krokami wrogiego żołnierza w najdalszy kąt piwnicy, ale o jak najszybszy koniec, o śmierć, bo żyć już nie warto, bo po co. Powstania już nie ma! Kroki dudnią najpierw w korytarzu, a teraz po schodach prowadzących do holu. Strach coraz okropniejszy. Marzę o tym, żeby wniknąć w mur. W tym momencie kroki zatrzymują się. Tę grobową ciszę przerywa wyraźny jakiś szelest, a następnie okropny huk i jakby grzmot uderzył obok. Granat wybuchł tuż koło mnie. W uszach potwornie szumi i dzwoni. W ustach mam pełno piasku. Po jakimś niesamowicie długim czasie słycać głos mojej siostry – Zosia, żyjesz? Nic ci się nie stało? – Głęboki oddech. Jadzia żyje. Teraz liczy wszystkich. Żyją, ale ten starszy pan nie zdążył usunąć się do korytarza i urwało mu palec, kapie krew, kogoś uderzyło coś w głowę. Jadwiga stanowczym głosem, niemal rozkazuje wyjść natychmiast na parter. Jedna pani mówi, że mieszka na parterze, ale jak jesteście już tam, ojej jak tu widno, mówi, że nie ma klucza. Boi się wpuścić obcych do mieszkania. Idziemy więc do tej starszej pani z pierwszego piętra. Nagle za nami „Halt! Halt!” i każą schodzić ze schodów. Stoimy w korytarzu w blasku słońca. Robią rewizję. Nie mogę się ruszyć z opanowującego mnie strachu. W majtkach mam te dziesięć tysięcy góralami, teczkę z cukrem i kaszą, oraz siatkę z puszką kodeiny pochodzącej z rozbitego niemieckiego wagonu. Przykucam i stawiam siatkę w rogu korytarza. Nie moja. Jadzia ma zaszyte złoto na samym dole między futrem a materiałem, w lewej części płaszcza tak samo jak pani Jaga. Żołnierz obmacuje prawą połą. Teraz pani Jaga. Truchleje, wyrzuczenia spowodowane zaszcyciem złota są widoczne z dala. Żołnierz obmacuje dół pałta, ale tę drugą stronę bez złota. Z rąk ściągają kobietom pierścionki i obrączki. Koniec rewizji. „Raus! Raus!” Odważam się i zabieram siatkę. Już w przejściu prowadzącym do pierwszego podwórza Niemiec zapytuje, kto umie po niemiecku. Jadzia odwraca się i mówi, że ona. Żołnierz karze jej iść za sobą do tej piwnicy, z której wyszliśmy. Tam już nikogo nie ma. Czekam na jej powrót. Nie upłynęło kilka chwil jak mnie popychają do przodu w stronę bramy wyjściowej. Staram się jak mogę zwolnić kroku. Pełno wszędzie wojska. Z okien zrzucają na podwórko ubrania i różne mniejsze przedmioty. Boję się o Jadzię i chyba zaczyna mi drzeć szczeka. Gdzie ona jest? Wychodzimy na ulicę. Przed bramą stoją ciężarówka. Za ulicą Solną czołg bije do bram domów. Tak jak niedawno do naszego. Oczom moim ukazuje się straszny widok. Oglądając się w stronę naszej bramy widzę teraz dokładnie, że nie ma balkonów na pierwszym, a po naszych oknach na drugim piętrze pozostały tylko zniekształcone otwory. Jak ten dom zniszczony. Pod nogami zgrzyta szkło z szyb. Na bruku pełno gruzu i trzeba bardzo uważać. Wszystkie domy vis-a-vis naszego dopalają się. Idziemy gęsiego, środkiem ulicy. Z dachów spadają płonące resztki drewna, kawałki niedopalonej papy i sypią się iskry. Trzeba na czas odskakiwać. Boże gdzie jest Jadzia. Płaczę, nie mogę się zawrócić, bo wciąż krzyczą Niemcy. „Raus! Raus!” i „Sznel”. Nareszcie dopada mnie zdyszana. Jadzia jest, ale nie mogę powstrzymać łez. Pochyliła się w stronę pani Jagi i coś szepcze. Dosłyszałam tylko „jak zniżył rękę do rozporaka, to go mocno odtrącałam, nie dokończyłam ostrzeżenia i uciekłam z piwnicy” Pomyślałam sobie, że on chciał chyba wysikać się. W obecności Jadzi? Gonia nas w stronę kościoła św. Boromeusza stojącego w rozwidleniu Elektoralfnej i Chłodnej. Idziemy pomału, mimo że każdy prze do przodu. My wstrzymujemy się, bo starszy pan nie nadaża za nikim. Pani Pupysz niesie na jednym ręku dziecko w beciku, a drugą ciągnie ojca za rękę. Pani Jaga, ta z trzeciego piętra, dźwiga na ręku krzyczącego synka. Jadzia nie niesie nic, za wyjątkiem tej dużej swojej torebki. Boję się o nią żeby nie zemdlała i dlatego niosę swoją szkolną teczkę i tę z cukrem i kaszą. Na wysokości kościoła ta przestrzeń pomiędzy obiema ulicami jest szeroka. Właściwie powierzchnie ulic nie istnieją, brniemy jakby korytem po piasku, gdyż kostka z bruku została zdjeta na barykady. Jest jakiś straszliwy nieład. Zwłaszcza pod samymi

murami domów, tych po naszej prawej stronie. Leżą tam różne walizki i walizy, tobołki, niedomknięte walizki ze zwisającymi częściami ubrań, tak jakby ktoś nie zdążył ich z nich wyjąć. Jakieś torby porzucone, a może wyrzucone z okien. Luzem leżące męskie garnitury, to znów stopy damskiej garderoby. Obok tego ogólnego nieładu stoi samochód z opuszczoną klapą. Na samochodzie leżą jakieś walizki i wygląda na to, że przerwano pakowanie. Uszliśmy od domu dopiero z 300 metrów, a jestem już zmęczona. Jest bardzo gorąco od prażącego słońca i od dopalających się domów. Mam na sobie te dwie spódniczki. Zamiast bluzki górę od piżamy, sweter i na to wszystko zimowe palto, na nogach pończochy i sznurowane wysokie buciki. Jadwiga na trzy letnie sukienki założyła płaszcz letni i tę pelisę. Trudno się poruszać. Zrobiliśmy jednak tak, jak było ustalone dawno temu jeszcze na samym początku wojny. Każdy na tułaczkę miał zabrać ze sobą ubranie zimowe. Jadzia w pewnym momencie widząc, że często przekładam z ręki do ręki tę ciężką teczkę, wrywa mi ją z ręki i rzuca na stos obok innych porzuconych przez ludzi. Bez tego obciążenia już jest dużo lżej. Mija nas wielu ludzi i coraz więcej ich zdąża w stronę Woli, gdzie nas pędzą eskortujący żołnierze, poganiając krzykiem i strzelając na postrach w powietrze. Staramy się iść razem z rodziną pani Pupysz i panią Jagą. Inni z naszego domu dawno nas wyprzedzili i już wcale ich nie widać. Dochodzimy do ulicy Żelaznej, gdzie jak zwykle stoi budzący w żyłach strach bunkier z otworami, z których wystają lufy karabinów². Mogą w każdej chwili strzelać, chociaż wokół nas i tak bez przerwy strzelanina nie cichnie. Daleko za nami pozostają huk wystrzałów z czołgów, odgłosy wybuchów bomb. Z dala, przed nami duża grupa mężczyzn – Polaków pod nadzorem niemieckim układa na nowo na jezdni kostkę, zerwaną na barykady i ubija ją. Dalej, poza ulicą Żelazną, ulica Chłodna jest prawie uporządkowana. Przed nami jakiś straszny zgłęb. Krzyk dzieci, płacz kobiet i dopiero teraz dochodząc do tej słynnej „Wachy” widzę, co się tu dzieje. Nie zatrzymując kolumny, Niemcy rozdzielają mężczyzn od kobiet. Mężczyźni na lewo, kobiety z dziećmi na prawo. Towarzyszy temu nieludzkiemu rozdzieleniu płacz kobiet, krzyk dzieci i wrzask żołdactwa. Niektórzy od razu biegną do przodu, by uniknąć zdzielenia pytają po głowie, a inni próbują wytargować ukochaną osobę. Tak stało się i z panią Pupysz, która zaczęła bronić wyrwanego z kolumny ojca. Widziałam jak Niemiec popchnął ją do kolumny, kiedy coś zaczęła tłumaczyć. Głos dochodził do nas już z tyłu. Proszący pani Pupysz, pisk dziecka, a nad tym wszystkim górował gruby, wściekły krzyk Niemca i strzał. To zdarzenie tak mnie wystraszyło, że wzmógł się szum, jaki mi nie ustępował po tym wybuchu granatu w piwnicy. Zapytałam się sama siebie, czy ten strzał to do tego starca? O Boże jak to dobrze, że Jasia, Gienio i wujek Mietek uciekli na Stare Miasto! Szybkiej, szybkiej, aby dalej od tego miejsca. Nie wiem, co się stało, ale jakaś złowroga cisza zaległa wśród tej posuwającej się kolumny. Po bokach żołnierze, najstraszniejsi ludzie na świecie, których się panicznie boję.

Wszędzie zniszczone domy, popalone i nieprzyjemny zapach gryzący w gardło. W czym teraz będzie się mieszkało? Ukradkiem rozglądam się na boki. Z lewej strony w oknie spalonej kamienicy, na trzecim piętrze, ciało mężczyzny na pół zwisało z parapetu okna. Widocznie chciał wyskoczyć z palącego się domu i w tym momencie został zastrzelony. Cały spuchnięty jak balon. Idę już z opuszczoną głową i kombinuję jak uciec z tej kolumny. Najlepiej w lewo w Ordoną do wujka Michała i dalej na Mszczonowską do rodziców. Ale Ordoną czy Gizów jest jeszcze daleko. Pociągam za rękę Jadzię i mówię jej o tym moim pomysle. Ścisza mnie mocno za rękę i jakimś nie swoim głosem syczy – ani mi się waż! Idź przede mną, żebyś cię widziała – popycha mnie przed siebie. Teraz przed nami Wolska. Z prawej Kercełak. Zauważam tu jakąś zmianę. Cała prawa strona tej przestrzeni aż do rogu z ul. Wolską zabita jakby dyktą do wysokości, co najmniej jednego piętra. Czy była to barykada? Czy też Niemcy to zrobili? Idący żołnierz po mojej prawej stronie schyla tu głowę. Zza tej „dykty” słychać w małych odstępach pojedyncze odgłosy strzałów. Ta schylona głowa Niemca daje do myślenia! O Boże, tam strzelają, a Niemiec ze strachu pochyla głowę. On się boi. To znaczy, że za tą „barykadą”, za tą „dyktą” Kercełak żyje! Tam jest jeszcze powstanie! I wielka radość spływa do serca. Nie wszystko skończone. To tylko nas wypędzają z Warszawy. Po bokach ulic, którymi nas pędzą, powstańcy walczą! Oni tam jeszcze żyją, oni się jeszcze z Niemcami biją! Idę cichutko i raźniej i jakby w nagrodę, gdy dochodzimy do narożnego domu, widzę coś niezwykłego. Na tle tego ogólnego nieporządku, chaosu, brudu, gardłowych krzyków poganiaczy, jakby wyspa z kwiatami, stoi przed nami ciężarówka z opuszczoną klapą, a na niej pełno uśmiechniętych, kolorowo ubranych młodzieńskich kobiet, wymalowanych jak ciocia Wanda, normalnie ubranych w letnie czyste sukienki, a nie tak jak my po zimowemu. One wcale się niczego nie boją. Ta na pół załadowana ciężarówka, tymi dziewczętami, po prostu kłuje w oczy swoją innością. Gdy dochodzimy do niej, dziewczęta krzyczą – kto umie po niemiecku niech dołącza do nas. Chcecie przeżyć, głupie, to wskakujcie! – Jadzia uczyła się w handlowce języka niemieckiego, to dla niej szansa. Myślę cicho, a głośno do niej mówię – przecież ty umiesz – i dostaję szturchańca w bok tak mocnego, że odwracam lekko głowę i już nie pytam „dlaczego?”, bo widzę ją całkiem zmienioną. Ma rozczochrane włosy, na głowie apaszkę, którą zsunęła tak na czoło, że prawie nie widać twarzy wtulonej w postawiony futrzany kołnierz. Kiedy ona to zrobiła? Już wiem, ona tam nie chciała i ominęła tego żołnierza, który trzymał wyciągniętą rękę do pomocy. Gdy mijałyśmy tego żołnierza jedna panienska idąca przed nami zrobiła nagły zwrot i podając

² Chodzi o posterunek żandarmerii niemieckiej „Nordwache”

rękę żołnierzowi wskoczyła wepchnięta na ciężarowy samochód. Pozostają za nami te dziewczęta. Ta ciężarówka to był taki kwiat wśród ruin mego zniszczonego miasta. Tylko krótko cieszyłam się. To szturchnięcie Jadzi kulakiem w bok trochę mnie otrzeźwiło i znów zmartwienie ścisła serce. Coraz więcej miejsc, które są mi znane, ale są nie do poznania. Młynarska, tu wysiadałam z tramwaju do „wesołego miasteczka” na diabelski młyn i do cukierni Stankiewicza na wspaniałe ciastka. Płocka. Czy szpital niespalony? Mama tu leżała dwa miesiące w 1942 roku. Idziemy w bezładzie. Obok nas inne nieznanne kobiety. Nie przyglądam się im, wyczuwam ich bliskość. Nie obchodzi mnie, kto idzie obok nas, lub kto nas wyprzedza. Z Elektoralnej idziemy tylko my i pani Jaga z synkiem. Jestem bardzo skupiona z powodu tego strachu, który bezustannie mi towarzyszy. Moja uwaga skoncentrowana była i jest na mijanych domach. Nie mogę utrzymać moich rozbieganych oczu. Patrzę raz na lewo, raz na prawo, a serce ścisła przeważnie skurcz bólu i czasami radości na widok jakiegoś nie do końca wypalonego domu. Tak było przy domu Hrabiego, w którym mieszkał Jadzi Tadzio, fabryce Franaszka i innych znanych miejscach. Dochodzimy już do Syreny. W głębi tej ulicy jest szkoła, którą prowadzą siostry zakonne. Tę szkołę ukończyła Marysia Wiśniewska – moja kuzynka. Przed nami kościół św. Wojciecha. O Boże! Cały, niezniszczony! Niespalony! Kiedy dochodzimy do bramy kościoła, prowadząca nas eskorta krzyczy „halt”. Karabinami wskazują nam zmianę kierunku marszu. Wchodzimy przez bramę na teren okalający kościół i do środka – pełnego po brzegi stłoczonych ludzi. Niektórzy krzyczą głośno „do przodu, do przodu”. Przeciskamy się wąską luką. Trzymam się blisko Jadzi i łapię głośne, dochodzące z boków, urywane zdania „teraz nas wysadzą w powietrze! Zaraz puszcza gaz i wytrują nas jak truli Żydów, wystrzelają wszystkich”. W tym tłoku niektórzy, widać już dużo wcześniej wpędzeni, pozajmowali miejsca na posadzce. Pozasiadali naokoło swoich tobołków całymi rodzinami, tworząc jakby własne enklawy. Tu, bliżej prezbiterium jest trochę luźniej i Jadzia podniesionym głosem mówi – ludzie zróbcie trochę miejsca i dla nas, niech dzieci chociaż usiądą, też chcemy się czegoś napić. – Kilka osób usuwa się do swego kółka z tłumokami i wtedy Jadzia i pani Jaga ściągają z siebie pałta, żeby było na czym usiąść. Kładą je na kamienną posadzkę i my też siadamy. Jestem bardzo zmęczona. Odpocząć wcale tu się nie da. Krzyk dzieci, płacz, głośne narzekania, stękania chorych. Jednym słowem mieszanina tych głosów tworzy okropny zgiełk. Wciągam w siebie, dochodzący z boku, silny zapach kielbasy. Ślinka leci mi do ust. Jadwiga daje kawałek chleba. Musi mi to wystarczyć. Skąd oni mają kielbasę? To musi być rodzina rzeźnika. Największą moją uwagę przyciąga ołtarz główny. Tam, za balaskami, na stole leży na pół naga kobieta i przeraźliwie krzyczy. Kręca się koło niej jakieś zakonnice w szarych kitlach. Słychać pisk dziecka. Ktoś z boku mówi, że urodziła. Jadwiga pociąga mnie na futro, bo z ciekawości wstałam i rozglądałam się w koło. Prawie syczy – nie gap się tak. – Chcąc odwrócić moją uwagę, zasłania sobą ołtarz. – Napij się kawy – i podaje mi zakrętkę od termosu do połowy napełnioną powstańczą kawą. Raniuteńko, jeszcze przed szturmem czołgu na bramę, zdążyła nalać jej do termosu. Z bocznych ołtarzy dochodzą jęki chorych. Zajmują się nimi jakieś osoby, zmieniają opatrunki jakby to było w szpitalu. Nikt się nie modli jak bywa to normalnie w kościele, a zwłaszcza dzisiaj. Jest niedziela. Nikt nie zachowuje się cicho. Wszyscy, może starają się mówić półgłosem, ale rozmawiają głośno. Prześcigają się w tym gadaniu, opowiadając nieprawdopodobne historie. Zgiełk podnosi się i cichnie. Ten harmider zostaje przesyty jak wyciem syreny ostrym „Achtung! Achtung!” Ten groźny krzyk dochodzi z ambony. Zapanowała nagle cisza. Przemawia jakiś oficer niemiecki. Następnie z jakimś obcym akcentem, ale słyhać już prawie po polsku – wy nie jesteście nic winne, to wasi ojcowie i synowie bandyci wywołali to powstanie. My wyprowadzimy was bezpiecznie z Warszawy i najpierw pójdziecie pieszo 15 kilometrów, a później rozwieziemy was pociągami do gospodarzy na wieś i tam przeczekacie tę wojnę. My chcemy dla was dobrze. – Mowa była nie czysto polska, ale zrozumiałam wszystko. Jadwiga wstając mówi do pani Jagi i jakby do wszystkich obok nas – słuchajcie idziemy od razu, ubieramy się. – Z ambony znów, po ucieszeniu ostrym głosem powstałego gwaru, dalej ten sam głęboki głos ciągnął – teraz wyjdziecie stąd wszyscy. Na ulicy ustawie się w kolumnę po cztery osoby i pójdziecie 15 kilometrów poza Warszawę. – My wychodzimy, ale ludzie mimo nakazu nie ruszają się. Jedni głośno płaczą, inni uspakajają. Ktoś ciągnie płaczące dziecko. Słychać klótnie i sprzeczki. Robi się straszne piekło w kościele. Odgłos tego zgiełku leci aż pod sklepienie świątyni i powraca wzmocniony echem do umęczonej mojej głowy. Przeciskamy się między ludźmi wąskim przejściem. Przed wielkim ołtarzem znów krzyk jakiejś kobiety. Jadzia idzie z mojej lewej strony uniemożliwiając mi przyglądanie się temu, co się tam dzieje. Obok ambony przechodzimy między szpalerem żołnierzy i oficerów. Ten cywil, który przemawiał po polsku, ubrany był w długi zielony płaszcz i miał na głowie kapelusik z piórkiem. Był tak samo ubrany jak ten Niemiec, który przyjeżdżał na Mszczonowską, oglądać pole wujka Michała. Przed bramą stoi już jakaś grupka ludzi zatrzymanych przez żołnierzy. Dołączamy do nich. Wychodząc z kościoła Jadzia na głos mówiła do pani Jagi – dobrze czy źle robimy, nie wiem, ale pozostać tam w środku, w tym tłumie załęcznionych i zmęczonych niewiadomą ludzi, nie było można. – Z kościoła wyszło za nami może 30 osób i koniec, sznureczek się urwał. Po bokach naszej kolumny stają żołnierze i dopilnowują ustawiania się w czwórki. Dochodzi do nas ostry krzyk ponaglący do wyjścia: „sznel, sznel” i kilka strzałów oddanych w środku kościoła. W panice ludzie wybiegają tłumnie przez szeroko otwarte drzwi. Widocznie zaczęto ich siłą wypędzać. Nie widziałam

nikogo z tobołkiem. Długo to nie trwało i cała kolumna ruszyła do przodu. Szliśmy prawą stroną ulicy, po linii szyn tramwajowych. Raz kazano przyspieszać, to znów stać i czekać. My szliśmy prawie na przedzie, ale nie wiem jak się to stało, że kiedy dochodziliśmy do ulicy Bema, kolumna przed nami była już bardzo długa. Po bokach kolumny, ni stąd ni zowąd, coraz więcej eskortujących Niemców i już z karabinami i pyłami gumowymi w ręku. Mówili, że dla naszego dobra chcą nas wyprowadzić z Warszawy i chcą dla nas dobrze, więc po co nas tak pilnują? Nie mówię tego na głos, bo ogarnia mnie strach i zaczynam się znów bardzo bać. Spoglądałam w ulicę Bema. Szkoła, do której zaczęłam chodzić w 1941 roku, a którą zaraz w 1941 roku Niemcy zamienili na koszary, stoi cała niespalona. Po mojej prawej stronie wszystko wypalone. Przed nami wiadukt linii kolejowej idącej z Dworca Gdańskiego w stronę Dworca Zachodniego. Tu następuje rozwidlenie i jezdnia środkowa wżyna się głęboko pod wiadukt, bo tędy jeżdżą tramwaje i samochody. Nas pędzą tą prawą drogą przeznaczoną dla pojazdów konnych i wózków ręcznych. Od ulicy Bema to już zaczęła się moja Wola. Tu znam wszystko dobrze. Do pierwszej klasy zaczęłam chodzić na Bema i do szkoły jeździłam tramwajem, wsiadając przy kościele św. Wawrzyńca. Często z tatusem chodziłam do pana Trzaski, który mieszkał w tym wysokim domu przy wiadukcie. Właśnie zaraz za wiaduktem mijamy ten dom stojący z tamtej strony ulicy. Jak się tu wszystko zmieniło! Zaraz za wiaduktem, po mojej prawej stronie, na niewysokiej skarpie pomiędzy drogą, którą idziemy, a wypalonymi domkami nad skarpą, leżą na trawniku nieżywi powstańcy. Sześciu. Obok każdego ciała hełmy z biało-czerwonymi znakami, oderwanymi orzełkami i biało-czerwonymi opaskami zdartymi z rękawów. Zamordowani? Czy tu przywleczeni? Siostra szarpnęła mnie za rękaw i mruczy tym swoim specjalnym na takie momenty głosem. – Nie gap się, to nie są powstańcy, to wszystko podrzucone. Opaski i orzełek. To kłamstwo. Oni by nie dali się złapać – syczy w moją stronę Jadzia. Jej głos jest przesycony nienawiścią do Niemców i dlatego nabrał zupełnie nowego odcienia. Jakie uczucie jest we mnie głębsze? Nienawiść czy obezwładniający strach? Wydaje mi się, że nad obydwoje góruje żal. Żal tego, co niszczy i tych, co utracili życie. To są pierwsze trupy ludzkich ciał, które powodują, że kolumna cichnie. Zalega złowroga grobowa cisza. Nie wiem, czy zamknięte miałam na chwilę oczy i nie spoglądałam do przodu, bo aż mi dech zaparł następny, mrozący krew w żyłach, okropny widok. Idziemy obok przyzmy ułożonej z ludzkich ciał położonych jedno na drugie. Cały ten wał na pół zwęglonych ludzkich zwłok ścina krew w żyłach. Tak układa się na brzegu drogi przyzmy z kamieni. Tyle tylko, że kamienne przyzmy są krótkie, a ta się ciągnie daleko, tworząc długi wał, prawie na metr wysoki, z ludzkich na półzwęglonych ciał. Jest mi niedobrze i chciałabym, żeby ta kolumna szła szybciej i szybciej. Wszędzie okropne zniszczenia, ale wszędzie jakoś uładzone, zamiecione. Nigdzie nie ma gruzu, ani na torach tramwajowych, ani na jezdni. Dochodzimy do przystanku przy ulicy Grabowskiego. Tu dorośli wysiadali do fabryki Gerlacha, a ja do swojej szkoły. Wszyscy mówiliśmy krótko, „chodzę do szkoły u Grota”. Idę w takiej cichości, a serce moje bije tak mocno i jakoś głośno, że słyszy to chyba ten żołnierz, który idzie obok mnie. Budynek mojej szkoły jest zburzony. Albo bomba trafiła, albo kula czołgowa zwała całą wschodnią ścianę prawie aż do parteru. Budynek, w którym była świetlica, stojący prostopadle do głównego, z oknami wychodzącymi na dziedziniec szkolny, cały. Do świetlicy wchodziło się od strony podwórza. W ścianie szczytowej tego budynku, od strony ulicy Wolskiej, było wejście chyba do jakiegoś mieszkania. Przed tym wejściem, przed samymi schodkami do tych drzwi, leży nieżywy mężczyzna. Z teczki, którą miał pod pachą wyturlał się bochenek chleba i zatrzymał się w odległości dwóch metrów od ciała. Drugi bochenek pozostał w środku otwartej teczki. Między nogami mężczyzny, może cztery lub pięć lat mające dziecko, z głową na brzuchu ojca. Oboje nie żyją. Tak sobie leżą. Widocznie wychodzili albo biegli do tych drzwi i wroga kula ich unieruchomiła. A z bezcennego chleba nie skorzystano. Może go nie doniesiono? Po przeciwnej stronie ulicy szkoła, którą ukończyła Jadzia. „Baraki”, tak ją nazywali, bo była cała wybudowana z drewna. Do tej szkoły też chodziłam, jak Niemcy wyrzucili nas z tej przy Bema. Może ludzie rozmawiają, ale ja tego nie słyszę. Jestem skupiona do granic możliwości. Dochodzimy z lewej do Orдона, z prawej do Elekcyjnej. Zaraz za ulicą Żelazną myślałam, że jeżeli uciekać, to właśnie w ulicę Elekcyjną do wujostwa Cyrańskich, którzy mieszkają zaraz w pierwszym domu za parkiem Sowińskiego albo na Ordon 13 do wujka Skirzyńskiego i dalej przez pola do Mszczonowskiej, do rodziców. Widzę teraz, że te moje plany są wcale niemożliwe do zrealizowania. Ulica Wolska jakby wymarła, nie ma żywego człowieka, ani całego domu. Zaraz za tymi zgłiszczami na rogu Wolskiej i Elekcyjnej, na samym środku wylotu ulicy, stoi rozkraczony żołnierz z karabinem wycelowanym w nas. To samo przy ulicy Orдона. W dodatku po bokach naszej kolumny jest wzmocniony konwój żołnierzy, coraz częściej krzyczących „sznel, sznel, sznel” i przy tym używają tej gumowej pyty. Biją idących gdzie popadnie. Idę cała struchlała z przerażenia i oczom nie mogę uwierzyć. Ta ogromna kamienica Hankiewiczza, stojąca w rozwidleniu ulic Orдона i Prądyńskiego, swoim frontem dochodząca do ulicy Wolskiej, w gruzach! Nie tylko podpalona, ale chyba zbombardowana, a może bił w nią czołg? Serce ściska skurcz bólu. W tej kamienicy była moja najukochańsza drukarnia, do której wchodziło się do środka po kilku schodkach przez wąziutkie drzwi. Teraz przez to wąskie wejście wysypuje się cała masa cegieł z zawalanej ściany czy może ze sklepienia pierwszego piętra. Już nigdy nie wejść tam do środka i nie będę mogła, rozglądając się wkoło, podziwiać kolorów gwiazdek, mikołajków i wszystkich drobnostek tak przydatnych do robienia cacek na choinkę. Już nigdy nie wstąpię

tu, niby po bibułę, by chociaż przez chwilę pobyc w tym zaczarowanym świecie pełnym błyskotliwych cudeniek maleńkiej drukarenki. Z rozpaczą, chociaż bez łez, odwracam głowę w stronę parku. I tu znów zaskoczenie. Kiedy byłam jeszcze przed ulicą Elekcyjną, widziałam z daleka ponad ogrodzeniem parku i ponad krzewami rosnącymi wzdłuż parkanu wznoszącą się jakąś górę ułożoną z zielonych gałęzi. Teraz, gdy mijam wejście do parku, widzę na wprost stojący pomnik Józefa Sowińskiego. Trochę na prawo od wejścia, na linii od pomnika do prawego rogu parku, jest teraz widoczna ta góra z gałęzi. Kamienieją. Te gałęzie przykrywają ludzkie ciała. Spod gałęzi wystają na półzwęglone części ludzkich ciał. Opalone włosy na prawie gołej już skórze głowy, ręka i noga do połowy zwęglone. Znów dostaję potężnego szturchańca. Syk wymawiany trzęsącymi się wargami – patrz pod nogi, bo się przewrócisz. – Obejrzałam się niebezpiecznie do tyłu, by przyjrzeć się znajomej mi postaci. Na trawniku leżało ciało "Głupiej Zosi". Tak ją wszystkie dzieciaki przezywały. Tak też mówili ludzie w tramwaju. „Patrzcie głupia Zosia jeszcze śpi”. Obchodziła okoliczne podwórka, żeby dostać coś do jedzenia. Wieczorem przychodziła do stojącego przed parkiem krzyża z napisem „Panie zbaw duszę moją” i gramoliła się za ogrodzenie, bo to była jej sypialnia. Codziennie jadąc do szkoły, przez okno tramwaju, widywałam ją śpiącą z głową opartą, jak na poduszce, na omurowaniu krzyża. Teraz leży cała spuchnięta w tych swoich łachmanach, zastrzelona w biegu do sypialni, gdzie na pewno chciała się skryć przed niebezpieczną kulą. Boję się i przerażona jestem tym okropnym widokiem ludzi. W taki okropny sposób pomordowanych.

Następna iskierka nadziei. Cerkiew cała. Dochodzimy do bramy, to przez nią wychodziliśmy z cmentarza i przechodziliśmy przez ulicę Wolską prosto kierując się do ulicy Jana Kazimierza i dalej ulicą Chrzanowską do Mszczonowskiej.

Nagle powracam do rzeczywistości i przytomnieję. Pani idąca obok mnie zachwiała się dzielona pyta po twarzy. „Sznel, sznel polnisze szwajne rajne” i znów dostaje po plecach. W tym samym momencie ręka Jadwigi wciąga mnie do środkowego rzędu. Idziemy prawie klusem. Stąd widoczny jest już dach kościoła Świętego Wawrzyńca. To moja parafia. Tu byłam chrzczona i tutaj przystępowałam do I Komunii Świętej. Te miejsca są mi tak znane i teraz jakoś bardziej drogie, że nawet strach nie powstrzymuje mnie od rozglądania się. Mijamy po przeciwnej stronie ulicy XXII Komisariat Policji i kamienicę Kamińskiego, też spalone. Dochodzimy do ulicy Gizów. Na środku wylotu ulicy stoi znów rozkraczony niemiecki żołnierz. Na rogu ulic Wolskiej i Gizów była szkoła Nr 155, do której chodziła Jasia, ale ja nie mogłam, bo ją zajęli Niemcy. W głębi ulicy Gizów, wzdłuż siatki ogradzającej dawne boisko szkoły, obsadzone podczas okupacji kartoflami i warzywami, chodzi wartownik cały obwieszony granatami i widoczny z dala. Już na Jana Kazimierza, drugi Niemiec. Uciec się nie da. Gdyby można było uciec w ulicę Gizów, to za dziesięć minut byłibyśmy w domu na Mszczonowskiej. Tak bardzo zajęta byłam wpatrywaniem się w ulicę Gizów, że nie zdążyłam zerknąć w bramę kościoła Świętego Wawrzyńca i w bramę cerkwi. Jak się minie bramę to już nic nie widać, bo cały ten teren otoczony jest wałem zaczynającym się przy cerkwi i ciągnącym się daleko za Redutę Wolską wzdłuż prawosławnego cmentarza od strony ulicy Redutowej. Właśnie zastanawiam się, czy ciocia Marianna z dziećmi była. Tak, pewno była, bo przecież żywej duszy ludzkiej w żadnym oknie mijanych domów nie widziałam. Pewno była na Wolskiej 165A w mieszkaniu nad sklepem czy u babci Ciszkowej na Redutowej? Mieszkali i tu, i tam. To tu właśnie wujek Miecio chciał się dostać z Elektoralnej. Teraz wiem, dlaczego mu się to nie udawało. Za nami moje miasto. Zamordowane miasto razem z pomordowanymi mieszkańcami Woli, mojej dzielnicy. Czy nasz dom też spalony? Czy nasi rodzice żyją? Czy spotkał ich podobny los jak tych w parku Sowińskiego? Na pierwsze zadane sobie pytanie mogę za jakieś 400 metrów mieć odpowiedź. Nie dochodząc do ulicy Sowińskiego, a za domem pana Puczkowskiego Wolska nr 165a i ogrodem pana Dusia, za tymi szopami jest taki przesmyk wolny od zabudowań na Wolskiej i akurat niezabudowany na ulicy Jana Kazimierza, że z ulicy Wolskiej, patrząc tak na ukos przez pola, widoczny jest nasz dom stojący na ulicy Mszczonowskiej. Wracając z cmentarza Wolskiego mama pokazywała mi nieraz, pomiędzy niezabudowanym terenem ulicy Wolskiej, nasz dom. Z ciekawości aż się trzęsę. Pilnuję, by na czas odwrócić głowę w lewo, by nie przegapić tego jedynego miejsca. Jest! Stoi nasz dom! Cały, niespalony! Tam w głębi, jakiś kilometr stąd, dokładnie go widać. Promienie słoneczne odbijają się w szybach okien. Ona też się odwraca i uśmiecha się pierwszy raz od czasu wyjścia z Elektoralnej. Jakaś niesamowita ulga rozprężyła moje spięte członki ciała, ciężki kamień leżący na sercu, jakby ciut zsunął się na bok. Zagościła iskierka radości, która odsuwa tamten smutek jakby gdzieś głębiej, tym bardziej, że rozluźnił się szpaler prowadzących nas żołnierzy. Gdyby nie było tych Niemców stojących, co jakieś 50 metrów, to już byłoby dobrze! Ale są. Mijamy Cmentarz Wolski, na którym spoczywają moi dziadkowie i cała rodzina mego taty. W tym roku byłam często na cmentarzu. Na pogrzebach wujka Gaworskiego, Kazika Tykała, ale najbardziej przeżywałam pogrzeb mojego kolegi z klasy – Januszka Karoluka, który wpadł pod tramwaj 21. Naprzeciwko bramy cmentarnej w budynku nr 201 wujek Kłudkiewicz ma sklep – mydlarnię. Tatuś przychodził tu ze mną po farbę i wszystkie rzeczy potrzebne do malowania mieszkania. Mieszkają z cocią Jadzią i maleńką Krysią w podwórku. W takim parterowym domu. Teraz nie ma chyba tu żywej duszy. Ciocia Jadzia i moja mama pochodzą z tej samej wsi, z parafii tarchomińskiej. Często ją odwiedzałyśmy przy okazji pobytu na cmentarzu, bo moja mama oporządzała groby całej rodziny Skirzyńskich.

Za pętlą tramwajową, to znaczy już za rogatkami miasta, na szosie poznańskiej, żołnierze stoją jeszcze rzadziej, co jakieś 100 metrów. Po prawej stronie mijamy glinianki. Wysypisko śmieci. Na samym brzegu, wśród tych nawiezionych różności, poznaję po jego rudej, kędzierzawej czuprynie kolegę z klasy. Podaje mi garść nazbieranych pasków staniolu. Nie biorę. Na pewno mnie nie poznał, byłam brudna i w palcie. Nie odzywałam się. To tutaj on mieszka! Do szkoły przychodził boso. Było mi go żal. Chcąc się z nim identyfikować, przyszłam i ja jeden raz do szkoły boso, ku przerażeniu Pani i całej klasy. Pani Gremplicka zapytała mnie, dlaczego przyszłam do szkoły bez sandałków. Nie mogła w to uwierzyć, że zrobiłam to dla tego chłopca z wysypiska, żeby nie czuł się w tej swojej biedzie osamotniony. Nigdy już więcej tego nie zrobiłam, bo podłoga w tramwaju nie była z gładkich desek, a z luźno obok siebie położonych na sztorc listewek. Palce u nóg wpadały mi w te szpary. Bolało.

Idziemy obok pola zasadzonego kartoflami. Ta ogromna przestrzeń bujnej zieleni dochodzi do z dala widocznych zabudowań Jelonek. Zauważam, że ludzie urywają się z kolumny i drogą rozgraniczającą pole od wielkiego gospodarstwa biegną w stronę Jelonek. Luźno rozstawieni patrolujący żołnierze krzyczą, ale nie strzelają. Ryzykujemy i my. Wzdłuż wysokiego parkanu biegniemy z duszą na ramieniu i docieramy do ulicy równoległej biegnącej do Poznańskiej. Na ulicy jest tłoczno, dużo ludzi miejscowych. Dopytują się o wszystko. Co tam w Warszawie się dzieje? Jadzia odpowiada na pytania. Jesteśmy zmęczone i bardzo głodne. Mnie dokucza pragnienie. Siadamy na trawie rowu ciągnącego się wzdłuż ulicy. Stawiam teczkę i wyciągam termos. Wypada mi ze zmęczonych rąk prosto do rowu. Kawa wycieka ciurkiem ze stłuczonego termosu i nie ma się już nic do picia. Jadwiga odkręca zakrętkę, bo nie mamy żadnego naczynia. Ktoś częstuje nas kromką chleba, ale nikt nie zaprasza nas do siebie. Zbliży się wieczór i trzeba poszukać noclegu, który znajdujemy na końcu ulicy, w domku bardzo przeładowanym uciekinierami. W domu, który nie odmawiał ostatniego wolnego metra na podłodze. Gospodyni do jedzenia nie ma nic, wszystko już zjedzone przez stale dochodzących wypędzonych z Warszawy. W końcu mięknie i za „górala” obiecuje ugotować zupę zacierkową. Jadzia zapewnia gospodynię, że zależy nam na przenocowaniu w tę jedną noc, bo jutro wyruszamy dalej. Ta pani lojalnie ostrzega, że rano na każdy dom robią nalot stacjonujący w pobliżu Ukraińcy. Poszukują młodych kobiet. Mimo to, po zjedzeniu posiłku, zostajemy. Na rozłożonym na podłodze palcie, futrem do góry, zasypiam kamiennym snem.

Raniutko budzi mnie Jadzia i przynagła do szybkiego zjedzenia chleba i wypicia kawy, gdyż gdzieś dalej słychać jakieś krzyki. Nie zdążyłam wypić kawy, a tu z domu obok dochodzi do nas straszliwy krzyk dziewczynny. Po płytach chodnika biegnie żołnierz, i ten tupot podbitych buciorów brzmi ostrzegawczo. Gospodyni krzyczy – Ukraińcy! Uciekajcie. – To obudziło mnie i zanim wszystko zrozumiałam, leżałam już w ogrodzie pomiędzy rzędami kartofli z ręką Jadwigi na głowie, którą przygniatała mnie do ziemi, bo obawiała się, że z ciekawości będę ją unosila. Ukraińcy są obok, jakieś 6 metrów od nas, zaraz za siatką, więc możemy być widoczne. Ukrainiec tupie tymi swoimi buciorami i krzyczy. Odnaleźli w jakiejś kryjówce młodzieńskie dziewczęta, które płaczą i krzyczą wniebogłose. Synek pani Jagi zaczyna płakać, chce pić. Pani Jaga wrywa garść trawy i zatyka mu buzię. Tupot butów po chodniczku ogrodowym. Tuż za siatką oddala się. Podrywamy się, przechodzimy przez płot i idziemy w pola.

Planujemy wydostać się stąd jak najszybciej i iść bocznymi drogami do Komorowa w gminie Kampinos, bo tam mieszkają nasi krewni. Już w 1942 roku porozumieli się nasi rodzice z wujostwem, że w razie niebezpieczeństwa uciekamy do nich, albo wujek Piotrowski z rodziną do nas. Może nasi rodzice już tam są?

Trawą wycieramy piach z twarzy. Przed nami rozpościera się ogromne pole pomidorów. Znajdujemy kilka dojrzałych i zjadamy, delektujemy się smakiem i odpoczywamy w bezpieczniejszych miejscach. Jesteśmy z daleka widoczne, ale trzeba dojść do szosy okalającej Warszawę i ją przekroczyć, by iść dalej w kierunku Leszna. Zmęczone dochodzimy do szosy, a tam żołnierz niemiecki z karabinem chodzi w tę i z powrotem. Wartownik. Wycofujemy się w głąb pola. Ponownie próbujemy, bardziej na prawo. To samo. Znow się cofamy. Czasami czołgamy się w bruzdach kartofli, by nie zobaczył nas żołnierz. Po krótkiej naradzie, siostra i pani Jaga, doszły do wniosku, że trzeba zrobić większe koło i ponowić próbę przejścia, bardziej na południe. Idziemy przez pola obsadzone przeważnie kartoflami i wychodzimy na górkę, to znaczy na teren górujący nad resztą pól. Mamy widok na dużą część szosy. Żołnierze niemieccy są rozstawieni co 200 metrów. Nie da się uciec w dzień. Warszawa jest pilnowana. Schodzimy ze wznieślenia i pani Jaga zastanawia się, co zrobić. Nagle za nami na tym pagórku dwaj Ukraińcy krzyczą – kom panynka, kom panynka! – Wobec tej sytuacji Jadzia krzyczy – szybko na szosę do Niemca! – Dolatujemy zdyszane. Wartownik zagradza drogę karabinem, bo siostra mówi, że chcemy przejść przez szosę i iść dalej. Lufą wskazuje nam zabudowania, gdzie mamy się stawić. To stary folwark na Górcach. Po drodze mijamy wartowników, którzy pokazują w dali zabudowania. Dochodzimy. Budynek duży, ale dawno już w nim nikt nie mieszkał. W otworach okiennych tylko futryny i to nie we wszystkich. Ruina z dziurawym dachem. Obchodzimy ten duży budynek i rozpościera się przed nami ogromne obejście ze stajniami w dużej odległości od podwórca. Przy tych zabudowaniach stojących, daleko stąd, jakaś jednostka wojskowa. Dużo oficerów coś gardłuje. Podniesione głosy dolatują aż tu. Pełno wszędzie niemieckiego wojska i uciekinierów. Spotykamy tu ludzi, którzy podobnie jak my, uciekli z kolumny pędzonych

Warszawiaków najpierw na Jelonki, a teraz złapani na szosie, którą chcieli przejść, znaleźli się znów z nami. Z sąsiedniego gospodarstwa donoszą gar pachnącej zupy. Staję w kolejce z tą zakrętką od termosu, którą miałam przy sobie, bo odeszłam z zamiarem napicia się wody. Kolejka długa i dostaję już resztkę z samego dna. Nie zdążyłam odszukać Jadzi i powiedzieć jej, że stoję w kolejce po zupę. Jadwiga odnajduje mnie i strofuje za oddalenie się. – Tam rozdawali chleb dzieciom, a ciebie nie mogłam znaleźć w tym tłoku – mówi rozszalonym głosem. Tłumaczę jej, że zupa tak bardzo zapachniała, a ja miałam chęć zjeść coś gorącego. – Ta zakrętka to tyle co nic, chleb ważniejszy – rzuca bezradna wobec mojego nieposłuszeństwa. Trochę się udobruchała, bo dostałam od kogoś kawałek chleba, który zjadamy popijając kawą.

Obejście przemierzają wzdłuż i wszerz mężczyźni znoszący słomę do budynku. Idziemy też szukać jakiegoś miejsca do spania. W budynku, w każdym pomieszczeniu porozkładana jest słoma na podłodze. Nigdzie nie ma wolnego miejsca. Jest, ale nikt nie chce ścieśnić się. To moja wina, bo Jadzia za długo mnie szukała, a gdy znalazła to zaraz powinnyśmy iść do budynku. Z korytarza prowadzą schody na pierwsze piętro. Wchodzimy, ale za każdymi drzwiami nie ma już miejsca. Jadzia otwiera drzwi do komóreczki, a tam cała podłoga usłana ceglami z przewróconej ściany. Jadzia próbuje jakoś wyrównać, ale się nie daje. Podeszłam do innych drzwi. Uchyłam i widzę czystą podłogę. Otwieram szerzej, a tu pokój bez sufitu i nawet dachu. Sufit zwisa nad połową pokoju i się urywa. Sterczą z niego badyle trzciny z resztkami trzymającego się tynku. Przez okno i resztę zawalonej ściany rozpościera się widok na płonąca Warszawę. Jadzia stojąca za mną stwierdza, ku mojemu zaskoczeniu, że tu nie można zostać. – Gdyby zaczęło w nocy padać, to nie ma się gdzie skryć przed deszczem – mówi z naciskiem i odchodzi. Zostaję sama. Stoję jak przykuta do podłogi. Wbijam oczy w ten dym kłębiący się nad moim ukochanym miastem. Ogromnie wielkie kłębowisko różnokolorowego dymu. Nieopisany ból ściska moje drżące serce. Doznaję zawrotu głowy z żalu po wszystkim, co tam przestaje istnieć. Wszystko się pali i to przepiękne mieszkanie pani Jagi i inne mieszkania z meblami może jeszcze bardziej wartościowymi niż jej. I tyle złota. Wpatruję się w ten dym jakby moje oczy chciały wwiercić się do środka przez te kłębiące bałwany i zobaczyć, co jest trawione pożarem i czego już nie ujrzą. Rozbiegane gałki wpatrują się, to w jedno, to w drugie miejsce. Przebiegają od jednego widowiska dymnego do drugiego. Przyglądają się czarnym jak smoła kłębowom, które podsycane tam gdzieś z dołu pożarem popychają te nad nimi jeszcze wyżej do góry. Te szeroko rozlewające się, skłębione chmury dymu, przesywają od czasu do czasu jaśniejsze świderki przebijające się do góry z jakąś większą siłą. Czasami przez ten zbity w kłęby dym wystrzela daleko w górę żółtoszara iskierka, jakby strzał z karabinu lub fajerwerk. Nad tym teatrum dymnym nieboskłon goreje luna.

Co się dzieje teraz z mamą i ojcem, bo Janka z Gieniem na pewno bezpieczna na Starówce. Ja tu stoję, a tam pali się wszystko, co jest mi takie drogie. Nie lubię tego ścisku w gardle. Czuję, że zacznę płakać, bo tam w tym ogromnym piecu pali się moje serce, płonie Warszawa. Jak ja ją Kocham!

– Zosia, co tam sterczysz. Chodź, pomóż mi rozkładać te cegły, bo sama nie zdążę. Tu się zrobiło ciemno. – Otrzeptałam się jak zmoczona w wodzie kura. Jeszcze raz spojrzałam na to przerażające widowisko i poszłam posłusznie zdejmować z przewróconej ściany te cegły, które się dało zdjąć. Niewiele można było zrobić. Pani Jaga rozłożyła pałta. Położyłam się na tym Jadzi futrze i mimo, że wyczuwałam nierówności pijące mnie w plecy, zasnęłam od razu.

Bardzo wcześnie rano pobudka. Znów takie samo przemówienie jak w kościele św. Wojciecha. Słowo w słowo to samo. I te gospodarstwa i te 15 kilometrów. Wymarsz kolumną, najpierw tą obwodnicą do szosy poznańskiej, a później różnymi ulicami aż do Włoch. Obstawa rzadka, ale zbiec nie można. Naprzeciw dworca kolejowego zarządzono postój. Wszyscy siadają na brzegu rowu. Po przeciwnej stronie ulicy stoi kilkupiętrowy budynek. Od trzeciego piętra do parteru zwisają dwie szerokie, tak jak w Alejach Jerozolimskich przed siedzibą Gestapo, gestapowskie flagi z hakenkreuztem. Przed wejściem do budynku maszeruje żołnierz z karabinem w rękę i w hełmie na głowie. Ten widok wzbudza strach. Niektórzy wyciągają coś do jedzenia i picia. Matki wysadzają dzieci do rowu, inni załatwiają się na oczach wszystkich bez żadnej żenady. Stwierdzam nagle, że chce mi się też siusiu, ale nie mogę tutaj się załatwić. Ja się wstydzę. Ten dom naprzeciwko znam. To jest dom znajomego taty. Byłam tu razem z tatusem zaproszona przez pana Zaleskiego, który chciał się pochwalić ojcu, jaki dom kupił po sprzedaniu tego domu na Gniewkowskiej. Spotkaliśmy się w tramwaju. Pan Zaleski wracał do domu z zakupioną nową muszlą ustępową, a my z tatusem wracaliśmy z Elektoralnej po ukończonym malowaniu mieszkania wujka Janka. – Kazik, pojedź, zobaczysz, że ustęp na podwórzu to nie to co czysta ubikacja w mieszkaniu. Sprzedaj swój dom. Weźmiesz więcej, choć mniejszy, ale murowany, niż ja za mój większy, ale drewniak. Zobaczysz jak mieszkam, wypijemy kielicha i się przekonasz. – Było to na pewno w maju 1943 roku. To wspomnienie przeszło mnie jak błyskawica i zanim Jadzia się spostrzegła, przebiegłam na drugą stronę ulicy i podeszłam do żołnierza, dygnęłam i powiedziałam – przepraszam, bardzo chce mi się siusiu, czy mogę wejść? – Zaskoczony żołnierz milczał. – Ja tylko na chwileczkę, zaraz wracam – i wbiegłam do korytarza. Po drodze postanawiam nie wchodzić na górę do państwa Zaleskich, ale tylko na parter. Zapukałam do drzwi. Nikt nie odpowiadał, więc weszłam do przedpokoju. Nie ma nikogo. Rozkład mieszkania

znam. Zapukałam do kuchni i po chwili nie czekając na odpowiedź nacisnęłam klamkę i czuję jak mi nogi więdną. To gabinet dentystyczny. Podobny jak na Stalowej u ciotki Strzeleckiej. Na fotelu, z otwartą buzią, siedzi niemiecki oficer, a nad nim pochyla się z jakimś narzędziem lekarz w białym fartuchu. – Czy mogę skorzystać z ubikacji? – Zdumiony i zaskoczony moją obecnością dentysta z nagłym strachem w oczach cedzi przez zęby – tak i szybko znikaj! – To szybko, to nie było takie proste. Musiałam się uporać z tym zawiniątkiem z „góralami” w majtkach. Wreszcie wielka ulga. To było chyba z dwóch dni. Wybiegam jak strzała i siadam na rowie obok Jadzi. – Bój się Boga, dziecko! Co ty wyprawiasz, nie zapytasz się mnie czy można i biegniesz prosto pod karabin! Tak nie można i żeby mi to było ostatni raz, pamiętaj – i jeszcze coś mówi, a mnie chce się jeść i pić. Znow wstawiamy ponaglani, a nawet po jakimś czasie musimy biec, żeby dogonić oddalającą się kolumnę. Jakiś czas idziemy szybko potem znow się wlecziemy. Teraz już jest coraz więcej Niemców, a niektórzy z nich mają nawet psy. Idziemy przez Piastów. Ta ulica jest długa. Po obydwu stronach ulicy, w bramach domów i willi, stoją ludzie i zadają pytania. Pytania podobne do tych, które zadawało się w bramie na Elektorальной uciekającym z Woli. Skąd, która ulica i co się tam dzieje? Dotychczas trzymamy się razem. Pani Jaga z synkiem na rękę po mojej lewej stronie, ja w środku i Jadzia z prawej. Nie rozmawiamy z obcymi, tylko od czasu do czasu między sobą. Pilnuję swojego rzędu i spoglądam wilkiem na Niemców, którzy budzą we mnie strach. Coraz więcej ludzi stojących nawet w przestrzeniach niezabudowanych. Stoją stłoczeni na poboczach drogi. Wszyscy o coś pytają. Jadwiga wdaje się w rozmowę i pozostaje coraz bardziej w tyle. Idę obok pani Jagi i oglądam się do tyłu. Jadzi już nie dostrzegam i wpadam w panikę. Krok po kroku przechodzę do rzędów za mną, aż panią Jagę zasłaniają obce kobiety. Już jej nie widzę przed sobą. Cofnęłam się na pewno o dziesięć, czy nawet więcej rzędów. Pani Jaga daleko na przedzie, a Jadzi nie widać i idę teraz sama wśród obcych ludzi. Strach mnie ogarnia. Wiem, co to oznacza, zaraz się rozbeczę. Szepczę zrozpaczona sama do siebie – gdzie ta Jadwiga? – Jakby na wezwanie dopada mnie zdyszana i ostro strofuje, dlaczego poszłam do przodu, skoro ona się cofając zatrzymała. – Tam na poboczu stała ciocia Antosia, która uciekła wcześniej z kolumny i zamieszkała kątem przy jakiejś rodzinie. Opowiadała, że ciocia Mania zatrzymała się w Ożarowie u Ciszków. Poprosiłam żeby oznajmiła jej, że wujek Mietek był z nami na Elektorальной, ale uciekł z Janką na Starówkę i zatrzymali się u Gieńka rodziny. Nie trzymasz się mnie, a ja chciałam cię zostawić u niej, bo nie wiadomo gdzie nas prowadzi. Ciocia mówiła, że do Pruszkowa skąd nie da się uciec, a później do jakiegoś niemieckiego obozu – opowiadała. – Nie gniewaj się na mnie, ale i tak bym bez ciebie nie została nigdzie. Nigdzie. Idę razem z tobą, gdzie ty to i ja – powiedziałam.

Jadwiga była zmęczona tym biegiem i podekscytowana. Prawie drżała z wysiłku, bo starałyśmy się dogonić panią Jagę. Popatrzyłam na nią z bojaźnią, bo przypomniałam sobie jak mama opowiadała, że Jadzia będąc dzieckiem bardzo chorowała i cudem przeżyła. Zawsze była pod szczególną opieką rodziców. Taki chuderlak. Janka natomiast, kiedy rodzice nie słyszeli, przeżywała ją „glizda”. Przestraszyłam się, że może zasłabnąć i wzięłam od niej tę dużą damską torbę, kupioną specjalnie do tej pelisy. Niosłam sama swoją teczkę i tę jej torbę. Jest bardzo ciężka, ale jestem silniejsza od niej.

Niemców coraz więcej, co jakieś 15 rzędów po obu stronach kolumny i co raz bardziej groźnie krzyczących „sznel, sznel”. Pani Jaga idzie przed nami o jakieś jeszcze sześć rzędów, ale już ją widzimy.

Ponad rozmowy prowadzone w kolumnie, krzyki Niemców i szczekanie psów, wybija się donośny krzyk nawołujący kogoś do powrotu (Jadzia to mi tłumaczy). Kolumna, w przerażeniu, co teraz będzie, posuwa się wolniej. Wszyscy patrzą w lewo. Ucieka tam cała rodzina – kobieta i mężczyzna z dziećmi. Oboje rodzice mają toboły z pierzynami na plecach, a przed sobą na rękach po dwoje dzieci. Biegną. „Halt, halt” i strzały za nimi. Zamieram od strachu, że im się nie uda i zauważam, że Niemiec trzyma podniesiony karabin, więc nie celuje do uciekających. Strzela na postrach. Może ucieczka im się uda. Wszyscy Niemcy, nawet ci idący z naszej prawej strony, mają uwagę skierowaną w stronę, gdzie ucieka ta rodzina i jeszcze kilka osób. Krzyczą za nimi, psy ujadają i robi się nieopisany harmider. Kolumna porusza się w bardzo zwolnionym tempie. Dochodzimy do krzyżówki. Na rogu ulicy, przed wejściem do ogrodu, stoi grupka miejscowych kobiet. Jedna z nich, wysoka i dobrze zbudowana, zwraca się do Jadwigi. – Pani taka młoda i piękna. Na śmierć was prowadzi! – Kładzie potężną swoją dłoń na jej głowie, naciska do dołu i wpycha ją w środek stojących pań. Szybko kucam obok Jadzi. Ta kobieta stojąc wyprostowana mówi do nas – biegnijcie do ogrodu, przeczekać aż ucichnie i wtedy uciekniecie dalej. – W ogródku, do którego pozostałe kobiety zrobiły szpaler, nie było się gdzie schować. Za każdym krzaczkiem siedziało w kucki po kilku mężczyzn. Wpadliśmy do domu i prosto po schodach na strych. Drzę ze strachu, że zaraz nas tu znajdą. Słysząc strzały, krzyki jeszcze groźniejsze niż przed chwilą. Może więcej ludzi ucieka? Modłę się gorąco, a zęby szczękają i nie mogę ich utrzymać w spokoju. Ta kolumna nigdy się nie skończy. Żeby tylko Niemcy nie poszukiwali nas! Ojciec nasz..., Zdrowaś Maryjo uchron nas od nieszczęścia... Skrzypią schody. Wciskam się za mebel przysunięty do dachu, przylegam płasko do podłogi. Serce kołaczę, ciężkie kroki coraz wyżej. Cała drzę tak mocno, że nie mam siły powstrzymać bijącego głośno serca. Drzwi się otwierają. Gdzie jesteście, szybko wychodźcie, kolumna przeszła i zbliża się następna. Wyjdźcie nie furtką, tylko przejściem między żywopłotem a siatką. Na chodniku nie odwracając się skręćcie w lewo. Nie rozglądajcie się, zachowujcie się tak, jakbyście byli stąd. Robimy tak

jak nam powiedziała ta pani, która uratowała nam może życie. Nie wiadomo, co by nas czekało tam, gdzie nas gonili. Ulica nie jest długa. Ma może z 200 metrów długości i półkole się skręca w prawo. Przed zakrętem, po prawej stronie ulicy, w głębi ogrodu, klasztor. Jadwiga dzwoni do furty, ale nie wydają jedzenia ani nie przyjmują nikogo. Jest przepelniony wypędzonymi z Warszawy uciekinierami z kolumn gnanych do niemieckiego obozu. Idziemy dalej. Już za zakrętem wchodzimy w polną drogę. Po obu stronach rośnie zboże, a w nim maki i chabry. Jest pięknie. Dopiero teraz dochodzi do mojej świadomości, że uciekłyśmy i ucieczka się powiodła. Nie ma Niemców! Jest dojrzałe zboże i pachnie latem. Słońce praży. Idziemy przed siebie wolno.

Tego samego dnia docieramy z napotkanym panem do Błonia. Przed jego skromniutkim, pełnym dzieci, domem dostajemy po talerzu zupy i zaprowadza nas do znajomych na nocleg w centrum Błonia. Rano robimy zakupy w normalnie funkcjonujących sklepach i docieramy przez pola do Szatkówka, do cici i wujka Osubniaków. Po kilku dniach jedziemy wozem do wujostwa Piotrowskich. Nie ma rodziców, przybyłyśmy pierwsze.

Kochana Poluniu, z Warszawy nie wyszłam, ja zostałam z Niej brutalnie wypędzona!

Powyższą treść napisałam bardzo dawno. Widać to zresztą po szczegółach, o których przypominałam sobie w miarę przepisywania tekstu. Wydaje mi się, że w drugim i trzecim dniu powstania niektóre wydarzenia trochę pomieszałam. Nie przywiązywałam wagi do tych przeżyć, bo moje nikną w porównaniu z tym, co przeszła Jasia z Gieńkiem i wujkiem Mietkiem na Starówce. Zaraz po wojnie wszyscy opowiadali sobie nawzajem o tym jak przeżyli powstanie. O gehennie, jaką przeżyła spokrewniona z naszą rodziną Cyrańskich, dowiedzieliśmy po powrocie do Warszawy. Z ich wieloosobowej rodziny przeżyła tylko Marysia. O tym rozstrzelaniu przed cerkwią na Woli opowiadał ksiądz podczas mszy świętej odprawianej (3 Maja 1945 roku?) w parku Sowińskiego. Pokazywał jedyną osobę, która z tej masakry obok cerkwi na Woli wyszła – Marysię Cyrańską. Opowiadał, a ludzie zgromadzeni wokół pomnika generała płakali. Wszyscy zgromadzeni na tej mszy stali na ziemi, w którą wsiąknęła krew tysięcy ściągniętych tu zamordowanych i niedopalonych ludzkich zwłok.

Wyszłam z powstania cała. Nie stałam na podwórku kamienicy Kamińskiego i nikt do mnie nie strzelał jak to było w przypadku Marysi Kłoszewskiej i jej rodziny. Nie wyszłam spod trupów ludzkich ciał jak ona kilkakrotnie ranna ciągnięta przez matkę i nie uciekałam z duszą na ramieniu godzinami czołgając się bruzdami kartofli, na które to kartoflisko dostały się zeskakując z muru łączącego budynki kamienic właściciela Kamińskiego. Jakież to musiało być straszne dla matki, która była złamana utratą męża, młodszej córki i maleńkiego synka zastrzelonego w kołysce jeszcze przed egzekucją na podwórku i teraz ciągnącej za sobą kilkakrotnie ranną jedyną ocaloną córkę, kiedy obok nich Niemiec pełniący wartę na ulicy Gizów przechadza się wzdłuż ogrodzenia boiska szkolnego, które stało się polem zasadzonym kartoflami.

Marysia Kłoszewska, którą spotkałyśmy w tramwaju, o tych przeżyciach opowiadała mnie i Ani Skirzyńskiej w 1951 roku. Pokazywała te odstrzelone palce u ręki i bliznę na udzie.

Przepisywane do laptopa etapami z brudnopisu powstałego zaraz po obejrzeniu filmu „Lista Szindlera”. Ten film to było ogromne przeżycie. Już myślałam, że zapominałam o wojnie i jej okropnościach. Nawet już od prawie 10 lat nie zrywałam się ze snu cała spocona, bo mi się przyśnili żandarmi. Miałam niejaki spokój, aż tu nagle Spielberg wsadził kij w mrowisko. Wszystko odżyło na nowo, ale z jaką siłą! Więc to opisałam, najpierw po holendersku do gazety szkolnej, a później po polsku.